

Moje młode lata

Może najlepiej będzie zacząć od tego, kiedy 10 stycznia 1924 roku Olga Węgrzynowa zwana przez bliskich Nuną, żona inżyniera Henryka Węgrzyna, urodziła trzecie dziecko, czyli mnie. (*więcej na temat swojego Taty w oddzielnym wspomnieniu Mój Tato*)

Glinik Mariampolski to miejsce 2 kilometry na wschód od Gorlic, nad rzeką Ropą. Składało się wtedy z trzech części: Dwu fabryk Rafinerii Nafty i Fabryki Maszyn, rozdzielonych linią kolejową Zagorzany-Gorlice, kolonii pracowniczych i wsi położonej na wzgórzach, powyżej doliny rzeki. Dom, w którym to się działo, duży, wygodny, stał wprost naprzeciw bramy Rafinerii, pierwszy z rzędu domów inżynierów, przy ładnej, kasztanowej alei, mając przed sobą ogród kwiatowy, a za sobą liczne grządki warzywne, rzędy krzewów porzeczek i agrestu, i liczne drzewa owocowe. Urokliwy był duży, jasny taras od tyłu domu.

Dano mi na imię Andrzej, nazwano Jędrkiem, czego nigdy nie lubiłem. Starsza o 16 miesięcy była moja siostra Hania, a o 5 lat brat Jerzy, którego imienia nigdy nie zdrabniano. Jako jedyny w rodzinie miałem niebieskie oczy i bardzo jasne blond włosy, które długo czesano na pazia. Karmiły nas mamki-niańki Matyldzia, Kundzia i Marynia, na długo pozostające w przyjaznej pamięci rodziny. Mamę uznano za zbyt chorowitą, by karmiła. Do tych niań na spacer prowadziła mnie, maleńkiego, za rękę Hania, i zawsze z radością witani, częstowani byliśmy słodyczami, czy kwaśnym mlekiem.



Od lewej – Hania, Jędrus, Jerzy

Z pierwszych lat niewiele pamiętam. Duże, ładne pokoje, o ścianach malowanych w kwiaty, ciemne piwnice z tajemniczymi „lochami”, zawsze licznych gości przynoszących słodycze i podarki, a z przygód nieszczęście kochanego psa Wisusa, którego na moich oczach przejechał samochodem szofer dyrektora, Położenko. Krwawiącego psa przyniosła na rękach służąca Wikcia. Długo chorował, zanim wrócił do zdrowia. Drugą pamiętną przygodą było, gdy uratowany przeze mnie z pazurów kota szczur boleśnie ugryzł mnie w mały palec u ręki, co skutkowało zastrzykiem surowicy przeciwwężcowej. Pętałem się też swobodnie po rafinerii, oglądałem pracę ludzi i maszyn, wyraźnie lubiany przez robotników.

Gdy miałem 6 lat, tato został wicedyrektorem i przenieśliśmy się do innego mieszkania, nieco dalej, przy drodze głównej z Biecza do Gorlic. Był to długi, parterowy, drewniany, otynkowany, dwunastopokojowy dom, i duży hektarowy ogród, przecięty alejką rzędów wielkich krzewów porzeczek i agrestu. Kilkanaście dużych drzew owocowych zaopatrywało nas w pyszne jabłka, gruszki i śliwki. Była też stajenka, w niej krówka i dwie świnki na święta i kurki... Za domem było szerokie podwórze, z pompą studni. Wzdłuż całego podwórza przeciągnięta była napięta, długa, stalowa lina, po której swobodnie przesuwiał się długi łańcuch, na którym biegał nasz nowy, kochany pies Smok, owczarek podhalański, kupiony po nagłej śmierci starego Wisusa. Przed domem, po lewej stronie dróżki od drzwi wejściowych do furki na ulicę znajdował się pieszczony przez mamę ogród kwiatowy, klomby i rabaty, a po prawej olbrzymie krzewy bzu, głębiej, w otoczeniu kilkunastu świerków i brzoź ocieniona altana, zaś pod samym murem domu szeroka, gęsta grządka konwali. W obrębie posesji należał do nas też, za rzędem starych brzoź i czeremchy, teren, zwany ruinami. Były to wysokie, rozległe, betonowe fundamenty budowanego jeszcze przed pierwszą wojną gmachu, opuszczone i zapomniane, za to

cudowne do zabawy. Po bokach, z jednej strony były gęste krzewy tarniny, z drugiej bujna kwietna łąka z wysokimi klonami, przy których tato później ustawił trzy ule. W głębi był też głęboki lej po wybuchu ciężkiego pocisku artyleryjskiego, wypełniony wodą. W niej godzinami, leżąc na brzegu, obserwowałem bujne życie żab, kijanek, traszek i wielu innych stworzeń.

W kuchni rozpoczęła pracę kucharka Anielcia, która, prawie jak członek rodziny, nie odstąpiła jej przez ponad 40 lat. Dom utrzymywały we wzorowym porządku dwie pokojówki. Tu dopiero zaczynają się wspomnienia i nie wiadomo od czego zacząć. Byłem dzieckiem chorowitym, z pokorą przechodziłem po kolei szkarlatynę, odrę, wymęczył mnie krztusiec, wszystko to cierpliwie, jak i część rzeczy, przejmowałem po starszym rodzeństwie. Tylko błonicę przechorowała Hania sama, szczęśliwie surowica już była. Pamiętam, że długie leżenie w łóżku uprzyjemniałem sobie wycinaniem z żurnali postaci „pań”. Były tego całe pudełka. (Może wtedy zakielkowało we mnie na zawsze uwielbienie kobiecego ciała?) W pierwszych latach najczęściej bawiłem się z Hanią. Kiedyś przebraliśmy się, ja włożyłem sukienkę, a Hania moje ubranie. To było chyba wtedy, kiedy tato usiłował wzmocnić słabe włosy Hani i ostrzygł ją na zero. Wyglądała okropnie, a włosy odrosły takie same słabe jak poprzednio.

Życie było unormowane. Rodziców zwykle widziało się dopiero przy obiedzie, gdy tato wracał z pracy. Nami zajmowały się służące. Szybko wszedłem w grono chłopaków, przeważnie z robotniczych rodzin, jakoś wśród nich swobodniej się czułem, niż w tych „wyższych sferach”. Buszowało się z nimi po okolicy swobodnie, często na bosaka i w podartych portkach. Prowadziliśmy bitwy na kamienie w ruinach. Pamiętam także wyprawy całą rodziną na grzyby, których nie brakowało w laskach nad rzeką. Uroczę były wyprawy, najczęściej furmanką, na połów raków, daleko na wieś, gdzie, zwykle o zmroku, lowiło się je w czystej wodzie strumieni, przy świetle pochodni, czy lucywa, albo na przynętę kijkiem z kawalkiem mięsa. Przywoziło się nieraz po kilkadziesiąt sztuk. Co to była za uczta, zupa rakowa i mięso raków faszerowane w skorupie!



Ostatnim przedszkolnym wspomnieniem był wyjazd z tatą i Jerzym na wakacje na Hel. Pierwszy raz jechałem pociągiem tak daleko. Już koło Bobowej zapytałem głośno – A kiedy będziemy przejeżdżać przez Nowy Jorek? – ku uciesze współpasażerów. Na Helu zamieszkaliśmy w jednym z identycznych domków rybackich u rybaka Niemca, z którym tato z przyjemnością gawędził po niemiecku. I tu przygoda. Na drugi dzień tato wysłał mnie po gazetę. Pobiegłem i... Jak tu wrócić, skoro wszystkie domki w szeregu takie same? Nie znałem numeru domu, ani nazwiska gospodarza. Stoję też na środku ulicy z gazetą w ręce i płacząc. Koło mnie stanęła grupka osób i wołają wyrodnego ojca, który zresztą nie kazal na siebie długo czekać. Użyliśmy obaj! Tato wspaniale zorganizował nasz pobyt. Zwiedziliśmy półwysep, latarnię morską. Co dzień kąpiele w morzu. Tato bez powodzenia uczył mnie pływać. Bałem się. Jerzy pływał jak ryba. Fajny był rejs na kutrze gospodarza, z połowem ryb. No i specjalność taty – pyszne ryby w restauracji.



Rodzice zrobili spory błąd, nie posyłając mnie do przedszkola, czy do tak wtedy zwanej ochronki, prowadzonej przez zakonnice. Już przed szkołą moi

koledzy umieli czytać i pisać, ja nie umiałem narysować nawet prostej kreski. Dystans był tyle upokarzający, co zniechęcający wobec trudności w dogonieniu innych. Uczyłem się niechętnie, nikt mnie zresztą nie dopingował. Nauczyciele lubili mnie. Dyrektor Augustyn i jego żona nigdy nie postawili mi złego stopnia. Pani Steinowa i pan Piątek zachęcali, ale nikt nie zauważył, że ja na przykład w 5 klasie nawet zeszytu z geografii nie miałem. To się zemściło już na egzaminie do gimnazjum, gdy w pracy z polskiego zgrzytały krutki i długi, nie wspominając o matematyce. Dobry byłem tylko w historii, przyrodzie, śpiewie i gimnastyce. Do gimnazjum mnie jakoś tato wkręcił, chyba dzięki jego wpływom utworzono trzecią klasę pierwszą dla „nieprzyjętych z powodu braku miejsc”. Byłem jednak lubiany też wśród kolegów, nigdy nie miałem wrogów. Tak też jechałem na trójkach, choć z roku na rok co raz lepiej. Za to od szkoły podstawowej ustawicznie byłem zakochany, choć objekty moich gorących uczuć najczęściej o tym nic nie wiedziały. Bliskich prawdziwych przyjaciół miałem wtedy dwu: Zbyszka Mielnika, syna tokarza metali z Fabryki Maszyn i Staszka Kreta, syna księgowego. Z nimi robiło się dalekie wycieczki i miewało „straszne tajemnice”. Zawsze też mogłem liczyć na pomoc i zaufanie Janka Polcia, syna jednego z najbiedniejszych robotników, ósmego z dziewięciorga rodzeństwa, i też ta przyjaźń była mi najcenniejsza. Niestety, nie przeżył wojny. Był jeszcze jeden przyjaciel, który miał na mnie duży wpływ, z którym robiliśmy szalone wyczyny. Siostrzeniec Marcza Adam Szymczyk był nieco starszy ode mnie i zaraził mnie pasją eksperymentowania. Skonstruowaliśmy pistolet z rury od gazu, z zamkiem skalkowym. Do produkcji prochu zbudowaliśmy wiatrak, obracający na blaszanym dachu blaszaną puszkę, w której z okropnym hałasem mełł się węgiel drzewny z siarką. Pistolet nabiliśmy prochem, śrutem i pakułami, lecz obaj nie mieliśmy odwagi, by wziąć go do ręki i strzelić. W końcu Adam przywiązał go do zamka drzwi do stajni, do spustu przywiązał sznurek. Schowaliśmy się za róg stajni. Zamknąłem oczy i pociągnąłem za sznurek. Huk był potężny, w drzwiach powstała wielka dziura, po pistolecie nie było śladu i obaj zostaliśmy surowo ukarani.

Życie społeczne i kulturalne, jak i polityczne Glinika toczyło się wokół dwu centrów, jakimi były: Kasyno Urzędnicze, spory budynek, w którym mieściła się część hotelowa dla gości, praktykantów, nowych urzędników czekających na zakwaterowanie, z jadalnią, barem, łazienkami, oraz część otwarta, reprezentacyjna z salą widowiskową, bilardową, biblioteką, czytelnią. Tu urządzano różne imprezy, spotkania, grano w bilard, czy karty, odbywały się bale, koncerty, wizyty różnych sławnych gości ze świata sztuki, czy polityki, wykłady różnych naukowców. Często odbywały się występy i przedstawienia różnych znanych aktorów, czy zespołów teatralnych, zawodowych, lub amatorskich, dla dorosłych i dla dzieci. Frekwencja zawsze była duża i życie kulturalne kwitło. Mama brała w nim zawsze żywy udział. Organizowała teatr amatorski, różne wieczory artystyczne, akademie okolicznościowe, w grudniu zawsze wspólną wizytę Św. Mikołaja, z aniołkami, diabłem, i co roku odgrywane Jasełka. Na zapleczu kasyna były czynne dobrze utrzymane dwa korty tenisowe, gdzie często rozgrywano różne zawody. Mama dużo czasu spędzała na korcie, najczęściej z Reuttową i Marianem Karczem. Było to centrum dla inteligencji, raczej eleganckiej, jednak otwarte. Porządku i spokoju strzegł poważny i zawsze dystyngowany lokaj Ignacy.

Drugim centrum, nieco na uboczu było większe, lecz nieco skromniejsze na oko Kasyno Robotnicze, siedziba związków zawodowych prowadzące nie mniej żywą działalność kulturalną i społeczną. Działał tam Robotniczy Uniwersytet Naukowy, biblioteka, kino, naprzód nieme, a od 32 r. ku powszechnej radości dźwiękowe, niestety niewielkie i zawsze pełne. Z Kasyna wychodziły barwne i głośnie pochody i manifestacje na 1-go Maja. Zasłużoną sławą cieszyła się robotnicza orkiestra dęta, która koncerty dawała nie tylko na pochodach, ale i w salach koncertowych, oraz Kwintet Smyczkowy

Braci Wiatrów dający koncerty w wielu salach. Gdy tylko mogłem, wpraszałem się, by ich posłuchać w czasie prób. Piłkarski klub Carpatia organizował systematycznie zawody z okolicznymi drużynami, zawsze gorąco go oklaskiwaliśmy, lecz jakimiś sukcesami pochwalić się nie mógł, może z powodu marnego boiska, zbyt małego, położonego tak blisko rzeki, że zdarzało się, że piłka zbyt mocno kopnięta bywała wyciągana z wody. Naganiałem się na tym boisku i ja, gdy z chłopcami tworzyliśmy własny zespół. O przeciwników trudno nie było, piłkę miałem, gorzej było z butami. Bywało, że grający na prawym skrzydle miał but na prawej nodze, a lewoskrzydłowy na lewej. Ważna była gra.

Rodzice marzyli, że każde z dzieci będzie grało na jakimś instrumencie. Jerzy jednak odmówił wprost. Hania kompletnie nie miała sluchu. Zostałem ja. Dostałem w prezencie skrzypce i zacząłem naukę u pana Pałaca, tym chętniej, że uczył się też u niego Zbyszek Mielnik. Nie wiem jak domownicy znosili moje rzępolenie, to musiało długo być straszne, mnie się jednak podobało, choć czytanie nut w coraz innych tonacjach, no i coraz szybsza technika, męczyły mnie i były coraz trudniejsze. Gdy jednak gra zaczęła sprawiać przyjemność i mnie i otoczeniu, zdarzył się wypadek. W czasie zabawy w piłkę z rodzeństwem Skrzywanów upadłem nagle na plecy, podpierając się lewą ręką. Zabolala mnie strasznie. Z trudem wstałem. Przedramię powyżej kostek było nienaturalnie skrzywione. Poszedłem szukać taty. Stał w ogrodzie, zjadając porzeczki z krzaka. – Tato, zламаłem rękę! – Popatrzył, – Idź, niech cię mama ubierze – spokojnie poszedł do garażu. Pojechaliśmy do doktora Jezierskiego. Stary znajomy obejrzał, delikatnie obmacał rękę – No pięknie, zламаłeś obie kości. – Przyniósł dwie deszczułki, ładnie je obwiązał watą, gazą i bandażami. – No, trochę będzie bolało. – Faktycznie, darłem się jak proszę, gdy naciągał i rękami ostrożnie nastawiał odłamki kości. Ułożył przedramię na lupkach z deseczek, grubo obandażował przedramię, zawiesił temblak na szyi. – To mamy trzy tygodnie z głowy – oświadczył. – Ale ja za dwa dni jadę na kolonie do Zakopanego! – To już nie w tym roku. – Bolało właściwie trzy dni, najgorzej wspominam jednak pchły pod opatrunkiem. No i tego Zakopanego żal!

Tak to załatwiłem sobie pierwszy, upragniony pobyt w wysokich górach, i grę na skrzypcach. Trzymanie instrumentu lewą ręką i palcówka już zawsze były zbyt bolesne.

Zawsze chętnie pomagałem w domu, zwłaszcza w kuchni, przy robieniu przetworów z licznych owoców, malin, porzeczki z naszego ogrodu, kręceniu lodów. Do moich obowiązków należało strzyżenie tacie głowy maszynką na zero, zawsze dyskretnie i po cichu. Był łysy, ale po bokach i na potylicy miał dość gęste, siwe włosy, których jakby się wstydził. Służyłem tacie też jako nagonka w czasie ulubionych jego polowań na zające, czy kuropatwy. Ganiałem więc po polach i wertepach godzinami, najczęściej bez rezultatu. Wracalem wykończony, zablocony i miałem wszystkiego dość. Miałem nadzieję, że będzie lżej, gdy tato dostał w prezencie pięknego, specjalnie szkolonego doga, sukę Almę. Było niemal święto, gdy Alma wyruszyła na wielkie polowanie z tatą, w towarzystwie licznych myśliwych. Pojechali. Tymczasem Alma po pierwszym strzale, z piskiem, z ogonem pod sobą zwiwała do domu i gdy tato wściekły i upokorzony wrócił do domu, jeszcze się trzęsła ze strachu w kuchni pod stołem. Strzelać też mnie tato uczył. Sam świetnie strzelał. Miał w pokoju na ścianie niemal wystawę broni; dwie dubeltówki, karabinek sportowy, duży rewolwer nagan i raketnicę, miał też dwie skrzyżowane ulańskie szable.

Inną pasją taty, w której musiałem uczestniczyć, było wędkarstwo. Gdy kupił samochód, Polskiego Fiata 110, w ładną pogodę jeździł w góry i w potokach łowił pstrągi. Ja zostawałem na straży samochodu i nudziłem się jak mops, a tato wędrował z wędką gdzieś daleko. Z samochodem zawsze były

kłopoty, najczęściej był w naprawie. Była jednak zawsze wielka radość, gdy tato brał mnie ze sobą, gdy jechał odwiedzić Hanię w klasztorze w Nowym Sączu. Trzęsło strasznie, szosa pełna była dziur, tato nigdy nie przekraczał 40km na godzinę, ale tak się wtedy jeździło.

Tatę pamiętam zawsze poważnego. Mówił niewiele. Nigdy na nic się nie skarżył. Gdy źle się czuł, czy coś go bolało, najwyżej nie chciał jeść, co było sygnałem dla mamy. Był dla nas dość surowy, ale zawsze sprawiedliwy. Nigdy nas nie uderzył. Karą było stanie w kącie, czasem surowiej, twarzą do ściany, lub różne zakazy wyjścia, czy innych przyjemności. Chętnie pomagał mi w matematyce, lecz nigdy nie rozwiązywał zadań za mnie. Szkołą, wywiadówkami itp. nie interesował się wcale. To były sprawy mamy. Za to tragedią było uproszenie go o pieniądze.

– Tato, daj mi cztery złote na nową czapkę!

– Przecież masz starą!

– Ale daszek się złamał i się podarła!

– Ja moje kapelusze noszę dwadzieścia lat.

Nie obywało się bez płaczu, i tak bywało o każde głupstwo. Na imieniny znajdowałem przy obiedzie obok talerza 5 złotych od taty. Na drugi dzień te 5 zł były wpłacane do PKO na moje konto. Do wybuchu wojny uzbierało się tego z trzysta złotych, których oczywiście nigdy na oczy nie zobaczyłem. Szczęśliwie reszta rodziny taka oszczędna nie była i zwykle obdarowywany byłem obficie.

Marzeniem był rower. Jeździć umiałem już wcześniej, podkradałem rower Jerzego, ale miałem z nim niemiłe skojarzenia. Jerzy chętnie mnie woził na ramie, lecz raz zdarzył się wypadek. Wjeżdżaliśmy na podwórze przez wąską furtkę i by nie uderzyć nogą o słupek, zbliżyłem za blisko nogę do koła. Stopa wpadła między szprychy. Ból był okrutny. Jerzy przerażony zaniósł mnie do domu na rękach, krew sikała z poranionej stopy. Po jakimś prowizorycznym opatrunku tato zawiózł mnie do szpitala, gdzie jakoś pozszywali mi palce. Nawet żaden staw nie był uszkodzony. Po zastrzyku chirurg upomniał tatę – Gdyby kiedyś była potrzeba, proszę zawsze uprzedzić, że on już raz dostał surowicę. – Ja już miałem surowicę! – wołam – kiedy mnie szczur ugryzł! – No to zatrzymujemy kawalera w szpitalu na noc, zobaczmy, czy nie będzie wstrząsu. – Ale noc przespałem spokojnie, kulałem jednak z miesiąc.

Nowy rower dostałem, gdy ukończyłem 10 lat. To było prawdziwe szczęście! Kupiony był za trzysta złotych wygranych na jakiejś loterii. Otworzył mi się świat na dobre 20 kilometrów.

Rodzice prowadzili otwarty dom. Przyjaciół było wielu. Najbardziej szanowaną i naprawdę kochaną była rodzina Marczaków, z którą łączyło nas wiele, nawet niecodzienny zbieg okoliczności. Dyrektor Rafinerii Marczak był imieniem jak tato Henryk, jego żona, Ukrainka, jak mama Olga i to z domu Wenhrynowycz. Fizycznie różnili się jednak bardzo. Tato był średniego wzrostu, z brzuszkiem, zawsze opanowany i małomówny, Marczak zaś był drobnym, szczupłym, chłopskiego pochodzenia cholerykiem, budzącym postrach w chwilach gniewu. Pani Marczakowa, wyższa od męża, była dość niską, tęgą Ukrainką, cichą i poważną, zamilowaną w uprawie sporego kawalka pola, ogrodu, oranżerii i pasieki. Mało się interesowała modą i życiem towarzyskim. Mama odwrotnie, piękna, bardzo szczupła, żywa, nawet skłonna do hysterii, zawsze ubrana według najnowszej mody, wciąż organizująca jakieś artystyczne imprezy, rozśpiewana, miała wspaniały głos o niezwyklej skali, od kontraltu do sopranu,

zapalona tenisistka. Najstarsi synowie mieli na imię Jerzy. Marczakowie byli u nas częstymi gośćmi, zwłaszcza na brydża, w którego w domu grało się namiętnie. Tradycją była wspólna kolacja wigilijna u nas i wspólne śpiewanie kolęd. Zaufanie między rodzinami było bezgraniczne. Marczak na przykład zgodził się na spływ ich synów Jurka i Olka kajakami Wisłą do morza tylko pod warunkiem, że tato z nimi poplynie.

Na szczycie elity społecznej i politycznej Glinika stała rodzina dyrektora Fabryki Maszyn Adama Wierusz Kowalskiego. Jego żona była siostrą generała Kazimierza Sosnkowskiego, który kilkakrotnie odwiedził Glinik. Córka Wanda wyszła za mąż za majora Sztabu Generalnego Levitoux (nie pamiętam imienia). Państwo Levitoux mieli córkę Tereskę trzy lata młodszą ode mnie, której nie zabrali do Warszawy, lecz zostawiali pod opiekę dziadkom, właściwie na stałe. Był jeszcze Janek Kowalski, też oficer, zginął jako pilot w walce o Anglię. Tato miał kontakt z dyrektorem Kowalskim jedynie na polowaniach. Los zbliżył nas ale dopiero w czasie wojny i później.

Drugą, zaprzyjaźnioną rodziną byli Reuttowie. Inżynier Stanisław Reutt, wysoki, szczupły, energiczny mężczyzna, o tak słabym wzroku, że czytając niemal wodził ukosem okularami po papierze, i jego żona, niepozorna Anna, zdolna pianistka, która co tydzień grywała na pianinie w czasie seansów niemych filmów w kasynie robotniczym. Mieli dwóch synów: starszego od Hani, przystojnego Ottka i Romka, znanego z tego, że oficjalnie oświadczył, że uczyć się nie będzie, co rok przenoszonego do innej, coraz surowszej szkoły, z której i tak zawsze go wylewano. Reuttowie mieli też w domu jej rodziców, Austriaków Schneiderów, którzy nie mówili ani słowa po polsku. Bywali u nas na brydża, a rodzice u nich. Mamę z Reuttową łączyła moda i pasja do tenisa, co irytowało tatę. Nie wiem dlaczego. Nie lubił kobiet sportsmenek. Ja nigdy nie lubiłem Reuttów. Czas wojny wykazał, że miałem rację. Na poziomie okazali się tylko Ottek i starzy Schneiderowie, którzy nienawidzili Hitlera i których zamykano w piwnicy, gdy niemieccy oficjele przymuszali Reuttów by podpisali reichlistę. Romek był spryciarzem i w czasie, i po wojnie zawsze wychodził na swoje z korzyścią. Doczekał się po wojnie kierowniczego stanowiska w kopalnictwie naftowym. Barwną, miłą postacią była panna Bronia Krawczyk, krawcowa. Pulchna, ładna, choć nie piękna, niewykształcona, lecz inteligentna, szyła suknie w domach u nas, u Reuttów, Marczaków i Kowalskich. Wszędzie lubiana, dyskretna, wszędzie traktowana była prawie jak członek rodziny, zawsze gotowa do rady i wszystkim przychylna. Namiętnie, choć nie najlepiej, grała w brydża. Darzyła nas odwzajemnioną, serdeczną przyjaźnią i w czasie wojny i później, aż do śmierci.

Miłym gościem, często zapraszany na brydża, był pan Antoni Walewski, urzędnik PKO, wysoki, szczupły, wzór dystynkcji i elegancji. Potrafił on nam na poczekaniu zawsze opowiedzieć jakąś zabawną dykteryjkę, lecz w pamięci utkwilo mi najbardziej jego uczulenie na cytrynę. Odrobina cytryny w herbacie, czy sałatce wywoływała krzyk – Puchnę! Puchnę! – i za moment twarz jego czerwieniała i brzękła tak, że oczy ginęły, usta się robiły jakoś groteskowo wydęte i zaczynał się dusić. Nie wiem jak go wtedy ratowano, wyrzucano mnie za drzwi. Zawsze mocno to przeżywałem, jakoś chciałem pomóc.

Dużą rolę odgrywało w domowym życiu radio, zawsze najnowszy model. Do zwyczaju należało wspólne słuchanie wiadomości, a już nikogo nie brakowało, gdy nadawano ciekawe słuchowiska, poważne, czy komediowe, jak ulubiona „Wesoła Lwowska Fała” ze Szczepkiem i Tonkiem. Z uwagą słuchano „Gadaninki Starego Doktora” Janusza Korczaka. Czekano się na piosenki Chóru Dana. Tato najchętniej słuchał muzyki operetkowej, nie znosił „ryczytali wyjących bab”. Radio było oknem na świat, źródłem wiedzy, i dawało nieraz wiele radości.

Pamiętać i opisać bliskich znajomych i przyjaciół miło, i nie żal, ani wstyd, gdy się o kimś zapomni, gorzej, gdy się ma z tym do czynienia z bliską rodziną. Chciałoby się zbudować jasne drzewo genealogiczne, a tu co rusz kłopoty. Nie jestem pewien nawet panińskiego nazwiska babci, matki taty, Kazimierzy Węgrzynowej, chyba Goszczyńskiej, a im dalej w tej linii, tym więcej nazwisk, na pewno krewnych, ciotek i kuzynów: Goszczyńskich, Pawłowskich, Pizłów, lecz jak ich poukladać? Wiem, że babcia miała siostry, lecz co dalej?

Babcia Kazimiera miała odwzajemnioną anse do mamy. Mieszkała po śmierci dziadka Józefa Węgrzyna, felczera, w śląskim miasteczku Granica, gdzie tato się urodził, początkowo u starszej córki Cecylii Pizłowej, lecz była tak nieznośna i dokuczliwa, że gdy tato z mamą zamieszkali w Gliniku, Pizłowie wymogli na nich, by wzięli ją do siebie. Do mamy odnosiła się wręcz wrogo, mówiła o niej „ona, niech ona”. Nas, dzieci, nie uznawała za swych wnuczków, zwłaszcza Jerzego, dopiero z czasem przywykła do Hani, opowiadała jej bajki i uczyła szydełkowania. Nigdy nie opuszczała swojego pokoju. Pamiętam ją jako drobną, zasuszoną staruszkę, stale pijącą herbatę, która musiała być prawie wrząca. Trzymała więc stale filiżankę nad płonąca świecą. Miała radio kryształkowe i pamiętam, jak ze słuchawkami na uszach cicho nucila jakąś pieśń, słuchając mszy przez radio. Pamiętam relacje, jakoby dawniej miewała urojenia prześladowcze, że braknie wody, biegła po domu, zakręcała wszystkie kurki, zabraniała się myć i tak dalej. Trochę się jej bałem. Zmarła w 1934 roku. Dopiero później przyjechała z wizytą ciotka Pawłowska, z bardzo miłą warszawianeczką Krysią, w moim wieku, która nie wiedziała, jak się bierze mleko od krowy i na świnkę wołała cip cip. Była to miła dwutygodniowa wizyta, jednak tylko ta jedyna, przed wojną. Krysia miała też starszą siostrę Hanię, która wyszła za mąż za bliskiego kuzyna, też Pawłowskiego, po długich staraniach o zgodę papieża. Poznałem ich bliżej dużo później, w czasie wojny, gdy służyłem w Centralnej Szkole Pożarniczej w Warszawie i z radością spotkaliśmy się z Krysią, która pracowała tam w biurze.



Nasza babcia Kazimiera (z oddzielnych zapisków)

Nasze wspomnienia o babci Kazimierze Węgrzynowej są bardzo skąpe, niepewne i fragmentaryczne. Z domu Goszczyńska, urodziła się w 1866 roku. O jej młodości, pożyciu z mężem Józefem nie wiemy nic. Pamiętam, że gdy tatę pytałem o jakieś pamiątki po przodkach, powiedział mi, że gdy na wiadomość o śmierci ojca przyjechał do Granicy, zastał dom splądrowany, zaginęły wszystkie dokumenty, pamiątki i inne rzeczy. Stąd wnoszę, że dziadkowie wtedy już nie mieszkali razem, ale może się myłę.

W pierwszych latach małżeństwa naszych rodziców mieszkała u swojej starszej córki, siostry taty, Cecylii Pizłowej początkowo w Jordanowie czy w Zagórzcu. Tato, który po studiach wylądował u nich, potem dostał pracę w Drohobyczu, był tam częstym gościem, tam też poznał mamę. Pizłowie należeli do "towarzystwa" to była stara, zadufana, szlachecka rodzina, dumna i niedostępna.

Babcia nie miała łatwego charakteru, chyba dawała im w kość. Nieprzytomnie kochała wnuki, zwłaszcza Stefana – Kamyka i Barbarę- Żabę. Hania pamięta wprost olśnienie na jej twarzy na wspomnienie ich imion.

Tak jak Cesia, nie chciała dopuścić, by Henio się żenił, a jeszcze z biedną, chorowitą sierotą, wychowywaną przez obcych ludzi. Tato przysyłał pieniądze na babci utrzymanie, przychodziły listy (na adres rafinerii), żeby ją wziął do siebie, że to jego obowiązek. Trwały dyskusje rodziców na ten temat. Mama się bronila, chyba to zrozumiała wobec wręcz wrogiego stosunku babci do niej. Gdy rodzice dostali większe mieszkanie, naprzeciw rafinerii, babcia jednak przyjechała. Mieszkała w pokoju z oknami na taras.

Do mamy i o niej mówiła „ona”. Niech „ona”, „ona tak powiedziała” i tak dalej. Posiłki jadła u siebie, mało wychodziła z pokoju – do łazienki i na taras w lecie. Nas ledwie tolerowała, zwłaszcza Jerzyka. Pamiętam jak mama prosiła: „niech mama nie krzyczy, dzieci śpią” – „Dzieci!!!” – z szyderstwem w głosie odpowiadała. Dla niej dzieci to byli Kamyk i Żaba. Miała zaburzenia psychiczne, krzyczała po nocach, uciekała z domu (na piechotę do Pizłów), zamykano ją w pokoju – waliła pięściami w drzwi i krzyczała. Przez jakiś czas była w jakimś zakładzie dla nerwowo chorych. Pamiętam, jak kiedyś miała urojenia, że zabraknie wody. Zakręcała wszystkie kurki, nie pozwalała nam się myć, przeszkadzała dziewczynom w kuchni itp.

W następnym mieszkaniu, dużo większym, miała pokój obok pokoju mamy. Hania spała z nią. Była spokojna, towarzyska, opowiadała Hani bajki, uczyła szydelkowania, szycia. Gdy przyjechała kuzynka taty, Janka Pawłowska z córkami Hanią i Krzysią, dala się namówić na wyjście do ogrodu. Gdy tato kupił radio, zapraszał ją żeby posłuchała – to nowy wynalazek! Usłyszała głos, wpadła w przerażenie, krzyczała: „diabelski wynalazek!” (długo radio tak się u nas nazywało) i uciekła do pokoju. Dopiero w jakiś czas potem usłyszała z daleka transmisję mszy św. z Częstochowy i zaczęła przychodzić. Potem tato ofiarował jej kryształkowy odbiornik na słuchawki. Nieraz pomagaliśmy jej go nastawić. Słuchając mszy i pieśni kościelnych, pośpiewywała do wtóru. Brzmiało to niesamowicie – ni jęki, ni ciche wycie – nie śpiew. Hania się tego bardzo bała. Pamiętam ją słabo, jako drobną, siwą staruszkę, której raczej unikałem, podobnie jak ona mnie. Zmarła w 1933 r. na zapalenie płuc, chorowała trzy dni. W jej pokoju zamieszkała Hania.

Siostrzeńcami taty byli też Stefan Goszczyński, którego przed wojną nie poznałem, i bracia Stefan, zwany Kamykiem i Janusz Pizłowie, oraz ich siostra Barbara-Żaba. Odegrali sporą rolę w moim życiu, lecz dużo później.

Kochanymi od dzieciństwa wujkami, ciociami, babciami były ze strony mamy za krewnych uważane rodziny, których pokrewieństwa z nami nijak nie można ustalić. Wynikało to z roli opieki, jaką otaczali mamę w jej sierocym dzieciństwie i młodości. Ojca mamy, Bolesława Kosteckiego, urodzonego w 1871 roku nigdy nie widziałem. Podobnie jej matki Olgi, mojej babci z domu Mentschel, znanej śpiewaczki opery wiedeńskiej, której mąż po ślubie zabronił dalszych występów. Mama miała jeszcze braciszka Zdzisia*, który jednak zmarł po upadku ze schodów, gdy miał pięć lat. Pozostało tylko zdjęcie. Mama miała 5 lat, gdy jej matka zmarła**.

* *Braciszek Nuny, który się zabił w 9 roku życia 6.01.1902 r. to Geniu (Eugeniusz), pochowany w Krakowie razem z matką. Nie jest jasne, z kim przebywał po śmierci matki. Brat Zdzisław przebywał z ojcem i zmarł w 1967 r.*

** *Olga Kostecka z d. Mentschel zmarła w Krakowie 20.08.1901 w wieku 33 lat i jest pochowana na cmentarzu Rakowieckim w kwaterze Ł (Zach. grób 31) razem z synkiem Geniem*

Ojciec nigdy się nią nie interesował, prawie go nie znała, założył inną rodzinę, miał dzieci i wnuków. Zmarł we Lwowie 22 maja 1930 roku. Po matce odziedziczyła piękny głos i zamiłowania sceniczne. Po jej zgonie nikt z krewnych nie interesował się sierotą. Chorowita dziewczynka pozostawała pod opieką siostr Derdelewicz: Bronisławy Sieleckiej, żony Dymitra, notariusza, Marii, Walerii i trzeciej



Zacharskiej nieznannej z imienia, z jej mężem Kazimierzem. Jakiś czas przebywała u zakonnice we Lwowie, gdy uczęszczała do szkoły. Ukończyła szkołę średnią pedagogiczną i kursy reżyserskie i recytatorskie Konopki. Pamiętała z klasztoru chłód, głód i surowe traktowanie. Później przewijały się miejscowości, gdzie przebywała jak Krakowiec, Zagórz. Traktowana była raz łagodniej, raz surowiej, ale zawsze z miłością. Tak powstała „rodzina”, powiększona później o Langów, gdy za inżyniera Tosia wyszła Janina, córka Sieleckich, starsza nieco od mamy, z którą kochały się jak siostry, nigdy nie zapomniana i serdecznie zapraszana, często też odwiedzana.

Ale dalej o „rodzinie”. Wuj Lang, zwany Tośkiem, miał blisko 2 metry wzrostu, potężny brzuch, zawsze dobry humor i anielskie usposobienie. Mówił pięknym, lwowskim akcentem i zawsze miał dla mnie jakiś podarek. Był inżynierem konstruktorem mostów kolejowych, emerytowanym przedwcześnie, gdyż ratując przyjaciela wziął na siebie winę za jakieś grube zawodowe przestępstwo. Ciocia Jania, Sielecka z domu, była niska i pulchna, zawsze czymś zaaferowana i roztargniona, wciąż wpadała w jakieś tarapaty. Ratowałem ją, gdy benzynę ze spodka, którą czyściła płamę na bluzce wylała do płonącego pieca i oczywiście zapłonęła. Pamiętam też, jak w pewien wieczór, przy kolacji wujek powiedział – Wicie, chyba będę miał atak ślepej kiszki, raczej się położę. – Po chwili zawołał – Janiu, zobacz co ja tu mam! – Okazało się, że z brzucha wisi mu biała, długa nitka. Ciocia ciągnie, aż za nitką wyszła igła. – Przyszywałam mu guzik do kalesonów i zapomniałam uciąć nitkę. – Byli co roku nas gorąco witani, jak i dwie ich córki: Krzysia, wesola, wysoka i wysportowana i Inka, poważna, niższa i powabna. Byliśmy całą rodziną we Lwowie na ślubie Ineczki, która wyszła za mąż za jednego z braci Samolewiczów, bliźniaków, tak do siebie podobnych, że mówiono, że oni sami nie bardzo wiedzieli który jest Adam, a który Stefan. Mąż ten jednak w czasie wojny wywieziony został na Syberię, potem utknął w Anglii i do kraju nie wrócił. Wszyscy do śmierci byli kochani i nam do końca oddani. Był jeszcze Zbyszek Lang, ale wcześniej został z przekonania faszystą i emigrował do Hiszpanii generała Franco jeszcze przed wojną. Wuj Lang postawił przed wojną piętrową, ładną willę w Stróżach, gdzie po śmierci teścia Sieleckiego umieścił teściową i jej dwie siostry. Mieliśmy więc w Stróżach dodatkowo trzy Babcie: Bronię, Minię i Walercię, zawsze radośnie witani i częstowani, czym się dalo.

Jak rodzinę witaliśmy Marysię i Franka Mączaków. Przyjaźń z naszą rodziną była do końca żywa i gorąca. Franciszek Mączak był profesorem geografii w Liceum im. Królowej Bony w Krzemieńcu, był współtwórcą pierwszego, wielkiego, polskiego Atlasu Świata Romera, pięknie śpiewał, grał na fortepianie i organach, prowadził świetny studencki chór. Wysoki, szczupły, niezwykle inteligentny, energiczny i żywy był zawsze duszą każdego towarzystwa. To on chyba nakłonił Marczaków, by wysłali Jurka i Olka na naukę do Krzemieńca. Za nimi pojechał nasz Jerzy, zachęcony tym, że nie uczono tam łaciny, tylko język ukraiński. Jego żona Maria była nauczycielką w tzw. Szkole Ćwiczeń. Mieli dwóch synów; Staszka, w wieku Hani, mocnego, ładnego, zdolnego chłopca i młodszego ode mnie Sławka, drobniutkiego, słabowitego niedojadka, obdarzonego jednak niezwykle sprytem i talentem muzycznym. Sześciolatek smyk grał z ojcem w kościele na organach w czasie mszy i tylko czasem zabuczało, gdy nie mogąc dosięgnąć nogą pedału basu, nadepnął niewłaściwy. Jerzy mieszkał u nich i często razem przyjeżdżali na

wakacje, czy na Boże Narodzenie, tym chętniej, że Marysia pochodziła z Siepietnicy koło Biecza, więc równocześnie odwiedzała swoje strony i rodzinę.

Nie zapomnę koncertu w Kasynie, gdy Mączak przywiózł swój chór wzbudzający zachwyt śpiewem, i zbiorową deklamacją „Lokomotywy” Tuwima. Mączakowie kupili kawałek ziemi i lasu w Siepietnicy i powoli budowali, daleko od drogi, na wysokim wzgórzu dom „na stare lata”. Budowa była o tyle ciekawa, że zamiast cegieł użyto drewnianych polanek, takich do pieca, łączonych zaprawą jak cegły. Jeździłem tam często na rowerze, starałem się pomagać. Los był jednak dla nich okrutny. W 1941 roku, gdy Niemcy zajęli Krzemieniec, powtórzyli proceder z UJ. Wezwali wszystkich profesorów Liceum na inaugurację działania uczelni, po czym wyprowadzili ich za miasto i rozstrzelali. Marysia szczęśliwie nie poszła. Staszek był świadkiem egzekucji ojca. Wrócił zszokowany, jakby nieprzytomny. Po dwu dniach dostał wysokiej gorączki i po trzech dniach zmarł na zapalenie mózgu. Marysię ze Sławkiem uchronili przed Niemcami, a później przed UPA jej uczniowie ze Szkoły Ćwiczeń, Ukraińcy. Wrócili do Siepietnicy we dwoje, bez żadnych rzeczy. Szczęśliwie dom już był gotów, Marysia sprawnie zajęła się uprawą roli, pasieką, lecz najlepiej zarabiała haftując obrusy i chusty pięknymi ukraińskimi wzorami. Cieszyła się gospodarstwem do późnej starości, wbrew namowom Sławka, który skończył studia, założył rodzinę i urządził się w Warszawie.

Wakacje, ferie, wycieczki, przygody i samochody

Wakacje najczęściej spędzałem w domu, jako że Glinik był przez bliskich i znajomych uznawany za atrakcyjne miejsce wypoczynku i do nas zjeżdżało wielu atrakcyjnych gości jak rodzina, bliscy przyjaciele rodziców (o nich później) i zawsze kilkunastu studentów na praktyki w Rafinerii, czy w Fabryce Maszyn. Do tego Jerzy z Krzemieńca i Hania z klasztoru w Nowym Sączu (dokąd ją rodzice posłali do gimnazjum) mogli przywozić niezamożnego kolegę, czy koleżankę na wakacje do domu. Było więc mnóstwo młodzieży. Senny Glinik młodził, ożywiał się, rozśpiewywał i tańczył. Skromna rzeka Ropa, w której zwykle, by się zanurzyć trzeba było położyć się wprzód na plecach, a potem na brzuchu, nagle stawała się atrakcyjnym kąpieliskiem. W kasynie urzędniczym bal następował po balu. Pamiętam pewną noc, kiedy pod Hani oknem, pięknym głosem, młody człowiek śpiewał serenadę. Byłem oburzony, że Hania nie odważyła się nawet pokazać w oknie. Trudno więc było w takich okolicznościach wyjeżdżać gdzieś na wakacje, choć ja byłem dla tego towarzystwa za smarkaty. Raz tylko, w 1934 roku, byłem na koloniach w Rymanowie Zdroju, gdzie największą atrakcją była słynna powódź, kiedy to ewakuowano nas w nocy wobec groźby zalania schroniska.

Od zawsze moją pasją były wycieczki, w góry, coraz dalej, tak w lecie piesze i rowerowe, jak i w zimie, na nartach. Często ze szkoły, całą klasą, szliśmy w pasmo Kornutów, czy na Magurę Małastowską. Wspominam szczególnie rowerową kilkudniową wycieczkę w czasie wakacji, w sześć osób, pod wodzą przewodnika, przez Jasło, Krosno, Iwonicz, Duklę do Przełęczy Dukielskiej. Po drodze odwiedziliśmy pustelnię bł. Jana z Dukli i piliśmy smaczną wodę z „cudownego źródła”. Dwoje z naszej grupy lubiłem szczególnie: Staszka Mączaka i Hanke Dąbrowską. Oboje nie przeżyli wojny. Ją złapano na akcji i po procesie zgilotynowano w Berlinie.

Zimowe ferie, to oczywiście narty, sanki i łyżwy. Terenów narciarskich było dość, ja od zjazdów jednak wolałem dłuższe wędrówki w góry, najczęściej samotne. Szusy przez ośnieżony las, to do dziś się śni po nocach. Parę razy zabłądziłem w górach, nigdy jednak daleko. Skoków ani wyścigów nie

próbowałem, nie było chyba jednak też chętnych, ani wytyczonych tras. Hania nie miała szczęścia do nart. Na pierwszej próbie zjazdu z ulubionego wtedy stoku zwanego „Granica” złamała nogę i przez miesiąc zbierała autografy na gipsie. Następnej zimy w nagrodę dostała piękne, nowe, narciarskie buty. Co z tego, skoro po tej wielkiej radości w nocy, przez sen nasusiała do prawego i nic się już z butami zrobić nie dało. Już więcej o nartach słyszeć nie chciała. Na łyżwach nigdy się dobrze nie czułem. Nauczyłem się jeździć jako tako, ale mimo ciepłych butów marzły mi nogi i wracałem do domu. To nie był sport dla mnie. Na sankach jeździliśmy często, Hania była świetną towarzyszką do sanek. Rafineria co rok urządzała zbiorowe kuligi, za dwoma czy trzema konnymi saniami ciągnęło nieraz po kilkadziesiąt sanek! To było prawdziwe zbiorowe zimowe szaleństwo.



Pamiętam dwie, tygodniowe, zorganizowane przez Klasztor Franciszkanów w Bieczu kolejowe wycieczki trasą Częstochowa – Warszawa – Wilno i drugą Gniezno – Biskupin – Gdynia. To były już lata 37, 38. Pojechaliliśmy oboje z mamą, lecz ja się trzymałem w uroczym, roześmianym towarzystwie młodzieży, miałem ogromne powodzenie u dziewcząt, które dla żartów nazywały mnie hrabią, bawiąc się wrażeniem, jakie to robiło na kelnerach w restauracjach i obcym otoczeniu. Wrażen, przygód było wiele, najpierw w Częstochowie, gdzie całą przyjemność zepsuł mi własny pęcherz. No, bo zrozumcie! Zwiedzamy klasztor na Jasnej Górze, jestem wśród samych dziewcząt i chce mi się sikać! Nie mogę odejść, bo się zgubię, nie mam kogo zapytać. Zakonnika? Idziemy na wieżę 80 metrów, a ja ledwo trzymam! Patrę na dzwony i marzę – jakby tak na nie? Nie sposób! – Schodzimy, wychodzimy na ulicę. Ja muszę! Widzę jakieś drzwi – wpadam – jakaś kuchnia, wychodzę i już! Ciepło na nogach i pełno w butach. Nie wiem, jak wróciłem do wagonu. Tydzień jeszcze nie mogłem ani chwilkę utrzymać, gdy się chciało. Ze piszę o takim głupstwie? To było jedno z najgorszych wspomnień z wczesnej młodości, choć nikt nic nie zauważył, lub raczej może udął, że nie widzi.

Inną przygodę miałem w Wilnie. Był właśnie 3 Maja. Był to okres napiętych stosunków z Litwą. Odbywała się właśnie wielka defilada polskiej armii, która miała okazać naszą potęgę. Zafascynowany biegłem, podziwiając szereg naszych czołgów za nimi, i zobaczyłem, że nie jadą dalej za piechotą, lecz skręcają w pierwszą przecznicę w prawo, potem w następną w prawo i wjeżdżają z powrotem na aleję, przed trybunę. Tak jeżdżąc w kółko, te same czołgi demonstrowały naszą pancerną potęgę! Dobrze, ale podziwiając defiladę zgubiłem naszą wycieczkę. Wiedziałem, że nocować i jeść mamy w klasztorze, ale w którym? Nie znałem ani nazwy, ani adresu. Klasztorów w Wilnie było kilkanaście. Miałem nadzieję, że zobaczę kogoś z naszej wycieczki, ale ludzi były tłumy! W końcu znalazłem policjanta. Z początku nie chciał sobie mną zawracać głowy, ale uczepliłem się go jak rzep. W komisariacie rwetes, długo czekałem, aż się ktoś mną zajął. Przez telefon wydzwaniano po klasztorach, kto gości wycieczkę z Gorlic. Nie wiedziałem nawet, czy to klasztor męski, czy żeński. Nasłuchałem się! Szczęśliwie w klasztorze też rozpoczęto, na lamenty mamy, poszukiwania telefoniczne na policji. I tak, koło północy, wreszcie znalazłem się wśród swoich. W Wilnie największe wrażenie zrobiły na mnie Katedra, cudny kościół św. Anny i kwas chlebowy, wspaniałą napój, sprzedawany na każdym rogu. W Gdyni podziwialiśmy piękne, nowo zbudowane miasto, port, i oczywiście, mimo, że to maj, wykąпалиśmy się w morzu, lecz najmiej wspominać pyszną, olbrzymią porcję golonki z grochem za złotówkę, w małej restauracji. W czasie długiej podróży pociągami wiodłem długie rozmowy z młodymi robotnikami, socjalistami z przekonania, i otrzymałem cenny zasób wiedzy z zakresu polityki, nierówności klas, teorii Marksa, a

także sporo wątpliwości o nauce religii. Długo miałem o czym myśleć i trochę zaczęło mi się układać spojrzenie na świat i życie. Dla mnie to były nie tylko wycieczki geograficzne, ale też światopoglądowe.

W tych czasach w Gliniku była już rosnąca grupka automobilistów. Pierwsze samochody jakie pamiętam, to stary Ford Fabryki Maszyn, bardziej przypominający wysoki, kryty daszkiem powóz, a później już ładny mercedes dyrektorski pana Kowalskiego, ale prowadził go fabryczny kierowca Położenko. Pierwszy prywatny samochód w Gliniku kupił Reutt, potem Beck. Marczak nie zważał na elegancję, kupił starą tatrę, uważając, że do nauki auto ma być przede wszystkim mocne, a nie piękne. Weiss kupił dziwne jajowate, dwuosobowe auto. Przed wojną już chyba wszyscy inżynierowie mieli swoje wozy. Tato swojego Polskiego Fiata 110 kupił oczywiście w tajemnicy. Pojechał po niego do Krakowa z Kmonem. Po dwu dniach Kmon wrócił oklejony plastrami.

- Matko Boska, co się stało? – Mama była przerażona.
- Kiedy mi pan inżynier zabronił mówić.
- Ale żyje?
- Żyje, żyje, jutro przyjedzie samochodem.



Kupili samochód i zaraz za miastem wjechali na furmankę. Koń poskakał po samochodzie, wybił przednią szybę, ale większych szkód nie było. Grupowy samochodowy rajd pamiętam z 1937 roku. W osiem samochodów pojechalśmy na rajd z okazji Zawodów Balonowych imienia Wańkowicza w Mościcach. Pogoda była piękna, wspaniałych balonów mnóstwo. Impreza była bardzo udana, właściwie pierwsza taka wspólna samochodowa zabawa.

W gimnazjum

Gimnazjum w Gorlicach mieściło się w dużym, najokazalszym w Gorlicach trzypiętrowym gmachu z czerwonej cegły, zdobionym u szczytu głowami polskich królów. Zbudowane było w formie litery C, lecz północnego skrzydła, zburzonego w czasie Bitwy pod Gorlicami w 1915 roku, mieszczącego salę gimnastyczną i aulę, nigdy nie odbudowano. Słynęło z wysokiego poziomu nauczania i jego absolwenci nie miewali trudności w dostaniu się na wyższe uczelnie. Uroczystość rozpoczęcia mej pierwszej klasy była inauguracją nowego systemu nauczania i pożegnaniem ośmioklasowego gimnazjum. Pamiętam uroczystą mowę pożegnalną wygłoszoną do dyrektora Gwiżdża przez prymusa ostatniej ósmej klasy, w pięknej grece.

Moje życie spoważniało. Niejako weszło w inny tryb, po włożeniu granatowego mundurka i czapki z daszkiem. Zaczęły się wspólne wesołe dojazdy drabiniastą furką, z fabrycznej stajni, w kilkanaście osób, z różnych klas, z przyjaznym furmanem Dębińskim. Wszedłem w przyjacielskie grono, rozśpiewane, zawsze skłonne do żartów, lecz już dorastające. Kogóż wymienić z zapamiętanych? Piękna Lala Markow, siostrzenica Marczakowej, Ukrainka, Zbyszek, Krzysia i Basia Grosser, Rysiek Safiak, Frycek Weiss, Żyd, Eryk Ladenberger, Lolek Holdman, Wilek Potwitt – Niemcy, Ottek Reutt – wszyscy ze środowiska urzędniczego. Narodowość nie miała wtedy żadnego znaczenia, kto chciał, ten ją okazywał. Nikt nie był lepszy, ani gorszy.

Każdy dzień w gimnazjum zaczynał się apelem klasami na placu za gmachem, śpiewało się „Kiedy ranne wstają zorze”, dyrektor odczytywał komunikat dzienny, rozdelał nagrody i kary i szło się do klas. Poziom nauczania w naszym gimnazjum był wysoki, choć dziś sędzę, że to raczej wymagania profesorów były wysokie i też ich oceny nie zawsze zależały od odpowiedzi na pytania, czy zadania pisemnego, ale również od pochodzenia ucznia. Wyraźnie surowiej oceniano pracę Łemków czy Żydów, faworyzowani byli harcerze, wyraźnie brak było często serdecznej pomocy słabszym uczniom. Dużą wagę miało natomiast „zachowanie”, oceniane nie tylko w szkole. Nauczyciele mieli dyżury w parku, w kinie, mieli też obowiązek zapisywać, kto zapalił papierosa na ulicy, czy na przykład nie miał tarczy z numerem szkoły na ramieniu. O piwie się wtedy, w gimnazjum, nawet nie śniło, chyba, że gdzieś w domu, w ciasnym kółku. Mundur nie zawsze był przez nas dobrze oceniany, jednak uczestnictwo w częstych pochodach z okazji różnych świąt państwowych czy rocznic dawało poczucie dumy, grupowej siły i satysfakcję. A okazji do świętowania czy czczenia było więcej, bo prócz rocznic obchodziło się uroczyste imieniny prezydenta i marszałka.

Wtedy bardzo szanowaliśmy naszych profesorów, choć każdego inaczej. Minęło tyle lat – te trzy lata nauki jakoś przymglily się w pamięci. Utrwały się sylwetki osób, które w jakiś sposób ukształtowały moją osobowość. Pierwszą był na pewno dyrektor Gwiżdż, jego autorytet i głęboki patriotyzm musiał głęboko oddziaływać na cały klimat szkoły, choć uczniowie harcerze byli może zbyt przez niego faworyzowani. Dbal surowo o opinię szkoły. Ulubiony mój wychowawca profesor Dziopek nie tylko pięknie uczył przyrody, ale też potrafił pocieszyć, gdy się niesłusznie otrzymało zły stopień. Znal dobrze zalety i wady swoich uczniów, ale i umiał nimi pokierować. Dużym szacunkiem cieszył się zawsze poważny profesor geografii Kowarz. Uwielbiałem dosłownie prof. Emilię Medyńską za jej sposób nauczania kultury i języka niemieckiego, ale i, co tu gadać, za urodę. Jednak najserdeczniej wspominam księdza Górnickiego, który ukształtował na długo kulturę tej szkoły. Wysoki, postawny, budził szacunek i autorytet. Prowadził znany w całym województwie chór gimnazjalny, w którym śpiewałem i który kochałem całą duszą. Śpiewaliśmy pieśni kościelne, patriotyczne, ludowe. Każda cotygodniowa próba była przeżyciem. Nasze kolędy, często już z tych zapomnianych, śpiewane w kościele, bywały tematem rozmów. Nie było żadnych państwowych uroczystości bez udziału naszego chóru. Wielkim sukcesem był finał ogólnopolskiego konkursu chórów szkolnych na Wawelu, gdzie zajęliśmy drugie miejsce za „Sztandary polskie na Kremlu”. Ksiądz nas uczył, ale i piłował niemiłosiernie, gdy jakieś frazy nie szły. Był cholerykiem. Pewnego razu, gdy nic a nic nie szło, zaryczał – Śpiewacie, czy nie! – złapał krzesło i cisnął ponad nami, aż się roztrzaskało na ścianie. Zbladł nagle jak ściana i z płaczem całował nas prosząc o wybaczenie. Jak myśmy go wtedy kochali!

Na lekcjach religii jakoś jednak nie mogliśmy się dogadać. Zapytałem go wprost, czy historię o stworzeniu świata w siedem dni i awanturę w raju należy rozumieć i wierzyć w nią dosłownie, powiedział „tak”. – To trudno – rzekłem cicho – to ja nie wierzę i to nie tylko w to. Dostałem gorszy stopień z religii, ale ksiądz nigdy nie zmienił się w stosunku do mnie. Ksiądz Górnicki był bohaterem innej przygody. Miał zwyczaj, chodząc między ławkami, sięgać chłopcom do górnej kieszeni marynarki za papierosami. Była pokazowa lekcja fizyki profesora Maksymowicza, w klasie siedziało z dziesięciorgo profesorów z innych gimnazjów. Ksiądz Górnicki wszedł jako jeden z ostatnich i idąc wyjął palcami z kieszeni biednemu chłopcu z Biecza – przerwatwę. Oslupiały trzymał ją wysoko nad głową, aż zrobił się skandal. Oczywiście chłopiec trzymał to – ot – dla szpanu, ale afera zrobiła się straszna. Ucznia wywalono ze szkoły, mimo błagań księdza o darowanie winy, prośby o ukaranie go raczej za nierozsądne

postępowanie. Nic nie pomogło. Uciechę mieli tylko chłopcy, gorsząc dziewczęta dopytujące, co to takiego było.

Bardzo brakowało dużej sali gimnastycznej. Ta w której ćwiczyliśmy, była wielkości zwykłej sali lekcyjnej, wstawiono tylko przyrządy, drabinki, materace. Ruchu było mało. Na powietrzu grało się w dwa ognie, czasem ostrożnie w palanta. Na boisko chodziliśmy ćwiczyć biegi – na 400 metrów zwykle byłem pierwszy. Poziom wychowania fizycznego był bardzo różny. Najslabsi byli zwykle koledzy Żydzi i często z nich brzydko drwiono, czemu nie sprzeciwiał się też sam profesor. Ja najbardziej cenilem sobie zawody strzeleckie. Na strzelnicy zdobywałem w strzelaniu z karabinka sportowego zwykle najlepsze oceny. Zresztą strzelać już wcześniej uczył mnie tato. Szybko zdobyłem brązową i srebrną odznakę strzelecką. Piłki nożnej, mimo, że wszyscy się nią interesowali, jakoś w szkole nie pochwalano.

W połowie drugiej klasy, w czasie ćwiczeń, a później i przy dłuższym siedzeniu, zacząłem odczuwać przykre bóle w plecach i lędźwiach. Nawet w czasie lekcji czasem musiałem wstać i pochodzić chwilkę, by ból ustąpił. W końcu tato zawiózł mnie do doktora Jezierskiego. Po długim badaniu brzucha i pleców wyproszono mnie do poczekalni i tato długo z doktorem rozmawiali na osobności. W końcu doktor powiedział mi, że sam choroby rozpoznać nie może i konieczne będzie dokładne badanie szpitalne w Krakowie. Później dowiedziałem się, że domacał się u mnie twardego, dużego guza po lewej stronie brzucha. Tato na drugi dzień kilka godzin przesiedział przy telefonie i już następnego dnia byliśmy w Krakowie u profesora chirurgii, u którego wizytę załatwił Kamyk Pizło, który akurat był tam asystentem. Profesor mnie zbadał i skierował na zdjęcie kręgosłupa, które wykazało znaczne skrzywienie i skrzywienie kręgosłupa lędźwiowego. Skierowano mnie od razu na oddział ortopedyczny. Ćwiczenia i masaże to była pestka. Najgorsze było wiszenie na tzw. pętli Glissona. Pozioma, szeroka deska u góry miała hak, a poniżej dziurę na głowę. Na haku wisiało coś w rodzaju ni to stryczka, ni to chomąta, które zakładano mi na szyję i tak wisiałem na tej pochyłej desce. Pętla była miękka i nie uciskała mocno, ale po dwudziestu minutach takiego wiszenia zaczynały boleć zęby. Ciężar ciała miał działać prostująco na kręgosłup. Leczenie w klinice trwało dwa tygodnie. W tym czasie w fabryce zrobiono dla mnie taką samą deskę i pętlę i po powrocie do domu zastałem to narzędzie tortur gotowe i powieszono mnie na nowo, po dwadzieścia minut dziennie. Po tygodniu miałem dość. Zęby nie tylko bolały, ale zaczęły się chwiać. Zbuntowałem się. Wolę być krzywy, a dalej tak wisieć nie będę!



Ostatnie lata przed wojną

Były już ostatnie lata przed wojną. W domu wiele się działo. Tato kupił Buciarnię w Gorlicach, wielką, długą na 104 metry halę fabryczną, bez szyb w oknach i mocno zdewastowaną. Przy tym dom dwupiętrowy z lokatorami. Oczywiście o tym zakupie mama dowiedziała się od znajomych. Tato nie powiedział nic. Myślał o stworzeniu własnego przedsiębiorstwa i szukał wspólników.

Mama postanowiła, jako dzieło życia, utkać wielki dywan. Wybrała z wielu wzorów z fachowej prasy piękny wzór persko-smyrneński. W fabryce wykonano duży warsztat tkacki, a pocztą zaczęły przychodzić kartony z włóczką kilkunastu kolorów. Warsztat zajął prawie cały pokój gościnny. Założono grubą osnowę i zaczęła się praca. Jedna kratka wzoru odpowiadała jednemu węzłowi. Dywan miał

wymiary 2,5x3,5metra. Praca była żmudna, ale mama pracowała całymi dniami. Pomagał, kto mógł i komu pozwolono, bo o pomyłki było łatwo. Powoli dzieło zaczęło nabierać kształtu i barw. Dywan mama tkala dwa lata i skończyła przed samą wojną. Nie zdążono nawet z ostatecznym strzyżeniem, co zresztą wyszło mu na dobre, był grubszy i trwalszy. Przeżył mamę o dobrych kilka lat.

Jerzy kończył drugi rok studiów na wydziale rolnym UJ i właśnie wrócił z ćwiczeń Legii Akademickiej. Atmosfera polityczna była coraz gorętsza. Na fali patriotyzmu tato, jako powiatowy inspektor Strzelca, ufundował nowoczesną strzelnicę w Gliniku. Uroczystość otwarcia strzelnicy była okazją, był starosta, był dowódca pułku Podhalań z Nowego Sącza, był proboszcz, a skończyło się tragedią. Tato oddawał honorowe strzały. Przed drugim strzałem, już po komendzie na strzał, jeden ze strzelców obsługujących tarczę, Dąbrowski, podbiegł do niej wbrew regulaminowi i wtedy tato strzelił. Mała kula z flobertu trafiła człowieka w samą podstawę czaszki, powodując śmierć na miejscu. Wypadek, niewinność taty była oczywista, nie było nawet sprawy. Lecz tato był zdruzgotany. W dodatku rodzina zabitego rozpetęła w robotniczym środowisku polityczną nagonkę na „panów bawiących się strzelaniem do robotników”. Wdowa po zabitym zaczęła tatę bezczelnie nachodzić, żądając pieniędzy, a on załamany dawał się naciągać. Nie wiadomo, ile w końcu tato jej dał, ale wiadomo, że po roku postawiła nowy dom i powtórnie wyszła za mąż. Dyrekcja Rafinerii, chcąc tatę odbarczyć psychicznie, wysłała go służbowo do Gdańska, lecz tam atmosfera polityczna była już taka, że wrócił bardziej zdenerwowany, niż wyjechał. Echa tragedii na strzelnicy wracały do taty w przyszłości boleśniej jeszcze nie raz.

Początek wojny

Gorączka przedwojenna „silni, zwarci gotowi” ogarnęła wszystkich. Fala ofiarności, zbiórka na broń. Dawali wszyscy. Karabin maszynowy ufundowany za zebrane pieniądze wędrował z miejsca na miejsce. Nikt nie wątpił w siłę naszej armii. Odebranie Czechom Zaolzia tylko podbudowało pewność siebie. A więc wojna! Tato był bardzo niespokojny. Co dzień słuchał niemieckiej audycji po polsku „Czy to nie jest dziwne”, bezlitośnie obnażającej militarną i gospodarczą słabość Polski. Bardzo chciał nie wierzyć. To, co się zaczęło dziać, zaskoczyło wszystkich. Już 1 września pierwsze niemieckie samoloty przeleciały nad Glinikiem zadziwiająco nisko i bezkarnie. Rzuciły kilka małych bombek tuż koło domów dyrektorów. Już pierwsze komunikaty radiowe budziły niepokój. Rozeszły się pogłoski, że Niemcy rzucili trujące, czy kaleczące zabawki. Aresztowano, lecz zaraz wypuszczono najbardziej czynnych politycznie glinickich Niemców. Wiadomo było, że bez przeszkód spotykali się na narady w Kasynie. Mnie zdarzyła się dziwna sprawa. Po bieganiu boso w trawie pojawił się na grzbiecie prawej stopy piekący pęcherz wypełniony mętnym płynem. który na drugi dzień pękł i zrobiło się owrzodzenie wielkości dwuzłotówki. O włożeniu butów nie było mowy. Włożyłem kapcie, których nie zdjąłem przez przeszło dwa miesiące. Głębokie owrzodzenie wcale nie chciało się goić. Doktor Jeziński kręcił głową – mnie to wygląda na oparzenie iperytem, ale skąd?

Fronty się waliły. Już 4 września zaczęto przygotowania do ewakuacji Rafinerii. Tato postanowił, że będziemy uciekać samochodem. Zaczęło się pakowanie. Duże, cenne rzeczy, w tym dywan, moje skrzypce, wielki lniany obrus, haftowany przez Marysię Mączakową, za namową gwardiana ukryto w lochach bieckiego klasztoru, co im wcale na dobre nie wyszło. Do samochodu stojącego na ulicy przed domem zaczęto znosić co ważniejsze rzeczy. Mnie, jako że kulalem, zostawiono w aucie, żebym pilnował. Ulica gwałtownie zaczęła się zapelniać tłumem uchodźców na wozach, pieszo, z wózkami, zmieszany z wojskiem. Zaczął się robić tłok i zamieszanie. Nagle obok samochodu stanął jakiś oficer.

Otworzył drzwi. – Wysiadać! Wóz jest zarekwirowany! – Ale ja czekam na rodzinę! – Wóz jest zarekwirowany! – Wywalili mnie na ulicę w tłum i pojechali z naszymi rzeczami naszym autem. Ledwo przebiełem się w poprzek masy uciekinierów do domu. Szczęśliwie pociąg ewakuacyjny rafinerii jeszcze stał i to nie dalej, niż 100 metrów od domu. Co się dało z najważniejszych rzeczy przenieść, to w walizkach i workach przenieśliśmy do wagonu. Tam już byli Marczakowie, Reutowie, Policzkiewiczowie i wielu innych. Jakoś upchaliśmy się w bydłym wagonie. W pociągu ewakuowano ważne maszyny i urządzenia Rafinerii, Fabryki Maszyn i około stu osób personelu z rodzinami. Na odjazd czekaliśmy całą noc. Gdy ruszyliśmy, zobaczyliśmy, że Smok biegnie stale przy wagonie za nami. Dopiero na polecenie – wracaj, pilnuj domu! – zatrzymał się. Faktycznie, pilnował wiernie. Gdy po dwu miesiącach wróciliśmy, w pustym domu nie brakowało ani łyżeczki!

Jazda była koszmarna. W tłoku, pociąg albo godzinami jechał powoli bez zatrzymywania się, to znów bez końca stał gdzieś pod stacją, stale pod groźbą nalotów. Każde wyjście z wagonu było ryzykiem, bo pociąg nieraz ruszał bez uprzedzenia. Po dwu dniach zaczęło brakować wody i żywności, choć wszyscy solidarnie dzielili się z innymi. Po trzech dniach dotarliśmy do stacji Nadyby Wojutydze, ostatniej przed Samborem. I tu dopadły nas samoloty. Pod świstem bomb wszyscy uciekali z wagonów na boki. My schroniliśmy się w płytkim jarze na brzegu strumienia, wśród krzaków. Wydawało się, że każda bomba leci wprost na nas. Tylko tato stał przy brzegu i obserwował, co się dzieje. Pociąg był rozbity, w pomocy kilkunastu rannym Hania dzielnie pomagała doktorowi Jezierskiemu. Z naszych tylko pani Suknarowska była lekko ranna w pośladek. Nalot powtórzył się jeszcze po południu, my jednak byliśmy już trochę dalej na wzgórzu. Trzeba było myśleć o dalszej ucieczce na piechotę. Jakiś chłop za złoty zegarek zgodził się przewieźć rzeczy zabrane z wagonu, ale tylko nocą. Szliśmy całą noc w niesamowitym świetle wielu łun, gdy miejsca nieoświetlone były czarne jak sadza. Tak w bród przeszliśmy Dniestr, ja na taty plecach, by nie moczył chorej stopy. Od brzasku szliśmy dalej zagrożeni i przez samoloty i przez ukraińską ludność, która nie kwapiła się, choćby z pomocą. Bardzo zmęczeni doszliśmy do wsi Waniowice (Waniowyczi). Okazało się, że trasa marszu nie była przypadkowa. Proboszczem (parohem) przy cerkwi w tej wsi był ojciec Marczakowej Wenhrynowycz, wysoki, dostoyny, 74 letni starzec, z długą siwą brodą. Przyjął nas gościnnie, obiecał pomoc, prosił tylko, byśmy przy ludziach nie mówili głośno po polsku. Po przespanej nocy odbyła się narada. Postanowiono, że mama z Hanią i ze mną zostaniemy u księdza razem z Marczakową, a tato z Jerzym, inżynierami i pozostałymi pójdą dalej w kierunku Lwowa. Pożegnanie było bardzo bolesne. Przez trzy tygodnie nie wiedzieliśmy nic, co się z nimi dzieje.

Pop Wenhrynowicz, wraz ze swoją gospodynią (tak sobie wyobrażałem Babę Jagę) robili wszystko, by mamę i nas uspokoić. Sąsiedzi szybko odkryli, że mama i Hania mają leki i z różnymi skaleczeniami i owrzodzeniami zaczęli przychodzić po pomoc, i nasz język im już nie przeszkadzał. Jednak księdza dochodziły wieści o napadach siczowców na naszych żołnierzy, rabunkach rzeczy, rowerów itp. We wsi był pełen niepewności i obaw spokój. Niemcy przejechali główną drogą obok wsi, witani przez Ukraińców. Myśmy ich nawet nie widzieli, ksiądz nie wyszedł z plebanii. Huk dział przesunął się na wschód. Nowe, coraz gorsze wiadomości przekazywał nam ksiądz, nie podnoszący głowy znad radia. Wciąż bronila się Warszawa, były walki o Lwów, Niemcy parli wciąż naprzód. Wreszcie wejście Sowietów, ucieczka rządu i naczelnego dowództwa, Trudno było uwierzyć! Niemcy odjechali tak samo bokiem wsi, jak przyszli. Kto teraz przyjdzie?

– Choćby sam diabeł przyszedł, byle nie Polacy! – powiedziała piękna Lala Markow siostrzenica Marczakowej, całe życie chowana w luksusie i miłości w polskim, dyrektorskim domu. Zabolalo nas to okrutnie i gościna w parohii wydała się już dużo mniej życzliwa. 22 września wjechał do wsi duży oddział sowieckiej kawalerii, lecz komitet powitalny z kwiatami i wielkim „tryzubem” rozpedził nahajkami. Przed cerkwią spędzono ludność i postawiono księdza, jak pod sąd. Nad cerkwią widniał wielki napis – CHRYSSTOS NASZA SYŁA – Batuszka pomahał? – Pomahał! – Chrystos nasz syła pomahajet! – zawołał jakiś żołnierz. Wieś stanęła twardo w obronie popa, tym niemniej w nocy wycięto wszystkie drzewa w księżym sadzie. Na pytanie o Polaków nikt nas nie wydał. Cerkiew zamknięto, ale też niczego nie zniszczono ani nie zabrano.

Dalej żyliśmy jakby w ukryciu. Wieczorami i w niedziele przed cerkwią śpiewano tylko pieśni kościelne, zresztą bardzo piękne. Trzeba było pomyśleć o ogrzewaniu plebanii. Razem z Orestem, wnukiem księdza, ścieliśmy cztery wysokie, stare jesiony otaczające cerkiew. Pnie rozszczypano na szczapy i do mnie należało pociąć je i porąbać na krótkie polanka do pieca. Kapatki na nogach nie przeszkadzały w tej pracy. Początkowo cieliśmy pilą we dwóch, ale Orest wyjechał i musiałem się nauczyć ciąć sam. Przebrnąłem kolejne etapy wdrażania do pracy: pęcherze na rękach, bóle mięśni ramion i pleców, aż mogłem ciąć i rąbać cały dzień. Jak mówiła mama, wyrosłem i zmęźniałem w oczach.



Po miesiącu zadzwonił telefon. Szalona radość! Są w Dolinie koło Borysławia, zdrowi, prowadzą pertraktacje o pracę i ewentualny powrót do domu. Może uda im się na parę dni wpaść do Waniowic, szczęśliwi, że z nami wszystko w porządku. Bardzo bali się o księdza.

Żyliśmy skromnie i zdrowo. Rano mycie przy studni, cały dzień praca, wieczorem, przy świecach, czy lampie naftowej ksiądz uczył mnie czytać cyrylicą po ukraińsku Juliusza Verne'a „Podziemny Świat”. W miesiąc przeczytałem tę ciekawą książkę i polubiłem cyrylicę. Pewnego ranka ksiądz przypatrzył mi się bliżej. – Tebi by trzeba oholoty sia. – Wyszukał gdzieś starą brzytwę. – Naostrz to i ogól się – powiedział. Boże, jak ja się wtedy pokrajałem! Poczulem się dorosły i mama była ze mnie dumna. Z niepokojem, niecierpliwie czekaliśmy na tatę i Jerzego, z przerażeniem wysłuchiwalismy wiadomości radiowych o upadku Warszawy i zajęciu Polski przez Niemców i Sowiety, bezsilnie słuchając Ukraińców, radujących się głośno przy nas z naszej klęski. Tato z Marczakiem przyjechali znów pod koniec października, na naradę. Droga przez granicę do GG w Przemyślu była jeszcze zamknięta. Proponowano tacie pracę dyrektora w rafinerii koło Sambora, już nie pamiętam nazwy. Tato już się tam wybierał, gdy niespodzianie przyjechał stamtąd na rowerze Kmon, alarmując, że tam już się rozeszła pogłoska o taty przybyciu i zbiegli gliniacy robotnicy organizują marsz z siekierami na powitanie „mordercy robotników”. Tato wrócił do Doliny, dowiedział się, że grozi mu przesiedlenie „gdzieś daleko”. Lecz też, że w Przemyślu można otrzymać zezwolenie na powrót do GG i przepustkę na przejście przez most na Sanie. Natychmiast przyjechał, spakowalismy się i już na drugi dzień furmanką dotarliśmy do Sambora, pożegnani serdecznie przez dobrego księdza Wenhrynowycza i zaopatrzeni jako tako przez gospodynię. Pociągami dojechalismy do Przemyśla, w którym przebywało wówczas około miliona osób. O jakimś noclegu nie było mowy. Miasto było brudne, zimne, poważnie zniszczone po obronie, brakowało żywności. Tato dwadzieścia godzin stał w kolejce po przepustki na most, my w jakiejś ciemnej bramie przesiedzieliśmy noc na naszych tobołkach i walizkach. Rano stanęliśmy w kilometrowej, czwórkowej kolejce, mostu nawet nie było widać. Tato od rana poszedł szukać żywności,

lecz jedyne, co zdołał kupić do jedzenia, to była 100 gramowa torebka rodzynek. Do przejścia granicy musiał nam starczyć duży bochenek chleba z plebanii (a nie chcieliśmy brać więcej, bo mieliśmy dużo bagażu). Staliśmy tak dwie doby, co godzinę mniej więcej przenosząc nasze kłopoty o 20-30 metrów, w nocy co rusz układając się do krótkiego snu. Kolejkę opuścić na raz mogły tylko dwie osoby ze środka czwórki. Dwie z boku musiały pilnować rzeczy i miejsca w kolejce. Co rusz wybuchały awantury, kradzieże, wrzaski – dawaj nazad – milicjantów, którzy brutalnie wyrzucali z kolejki, gdy znaleźli kogoś bez widocznej przepustki. Były przypadki, że wrywano ludziom przepustki trzymane w zębach, gdy ręce były zajęte. Jacyś ludzie oferowali sprzedaż walizek, tłumoków po 50 zł, w ciemno. Panował smród, brud i zimno.

Krażyły pogłoski, że po przejściu mostu Niemcy ładują wszystkich do wagonów i wywożą do obozów i radzono, by zaraz po przejściu przez most zbiegać z nasypu, dojść do najbliższego przystanku i tam wsiąść do pierwszego pociągu jaki przyjedzie. Tato uznał, że lepiej tak się rzeczywiście zabezpieczyć i gdy wreszcie po trzech dniach męki przeszliśmy most, spuściliśmy nasze walizki i tobołki z nasypu, i zupełną już resztą sił dotarliśmy do przystanku Zasanie. Tam zastaliśmy ogromny tłum ludzi, cywilnych i żołnierzy, obozujący dookoła stacji. Był jednak porządek, czysto, można było kupić jedzenie i napić się czystej wody. Odpoczęliśmy, zjedliśmy obiad w bufecie i dylemat – jakim cudem dostać się do wagonu, gdy pociąg przyjedzie? Hanię zainteresował szereg pięciu noszy z rannymi naszymi żołnierzami. Też czekali na pociąg, i sanitariusze miejscowi szukali kogoś w miarę fachowego, kto ich do wagonu sanitarnego pomoże wnieść i zaopiekuje się nimi w drodze. Hania nas natychmiast zgłosiła jako opiekę. Miała opaskę Czerwonego Krzyża i sanitarną torbę. Wystarczyło.

Trudno opisać co się działo, gdy pociąg nadjechał! Ludzie obsiedli wagony, stopnie, dachy, tender, bufory, nawet lokomotywę. Wagonu sanitarnego strzegło kilku niemieckich żołnierzy, którzy bez wahania uznali naszą działalność i uchronili nas przed naporem tłumu. Sprawnie wnieśliśmy nosze i nasze bagaże. Hania z mamą wnet zabrały się do przeglądania opatrunków rannych, którzy przede wszystkim byli głodni i spragnieni. Tylko jeden był w naprawdę poważnym stanie. Dalsza podróż, choć z przesiadkami minęła bez przygód.

Znów w domu, i wyprowadzka do Gorlic

Drzwi wejściowe, jak i furtka, były szeroko otwarte. Przed nimi kochany Smok tańczył swój zwariowany taniec radości, był w świetnej formie. Alma spała na poduszce na mamy łóżku. Mieszkanie było dokładnie w takim stanie, w jakim je zostawiliśmy. Więc kąpiel, jeść, spać i jutro zobaczymy co dalej. Rano, w kuchni, jakimś cudem Anielcia już przygotowywała śniadanie.

Tato poszedł do dyrekcji, wrócił ponury. Powiedział tylko, że wszyscy witali go z radością, a dyrektor, Niemiec, czeka na niego na drugi dzień. Ma tylko przynieść podanie i dokładny życiorys. Mama pobiegła przywitać się z przyjaciółmi i wróciła przygaszona. Marczaków nie było. U Reuttów zastała jakichś Niemców. Wszędzie niepokój i przygnębienie. Tato pisał życiorys całą noc. Gdy wyszedł, koło biurka zobaczyliśmy masę zmiętych, zapisanych kart papieru. Wrócił błady i zdecydowany. – Powiedziałem mu, że ja dla nich pracować nie będę. Mamą trzy dni na opuszczenie służbowego

mieszkania. Powiedział mi: Tylko dzięki wyjątkowej opinii, jaką pan ma u tutejszych Niemców, nie jest pan natychmiast aresztowany, ale póki tu jesteśmy, a będziemy zawsze, pan nigdzie pracy nie znajdzie.

Wyprowadzamy się, ale dokąd? W buciarni byli trzymani polscy jeńcy. W naszej kamienicy mieszkali lokatorzy, a jedyne wolne pokoje na dole zajmowała wojskowa straż. Udało się tacie, za drogie pieniądze, wynająć dwa pokoje na piętrze w Gorlicach, przy Bieckiej 31, ale tylko na parę miesięcy. Co zrobić z meblami, biblioteką, urządzeniem z 12 pokojowego domu? Zaczęło się wielkie rozdawanie, pożyczanie – chętnych nie brakowało. Wierny Kmon zajął się sprzedażą krówki, uli itp. Jakos umieściliśmy się w małym mieszkaniu. Hania rozpoczęła pracę jako pielęgniarka w szpitalu. Moja noga wreszcie się zagoiła. Jerzy szukał jakiejś pracy rzemieślniczej. Po pół roku zwolniła się buciarnia i odzyskaliśmy pół parteru w naszym domu. Były to cztery pokoje i duża kuchnia. Zjawiły się Anielcia i Helena, gotowe służyć za byle co. Na nowo meblowaliśmy dom, sporo rzeczy udało się odzyskać. Z klasztoru w Bieczu odebraliśmy ukryte w lochach rzeczy, niestety wilgoć zrobiła swoje. Moje skrzypce się rozlały, obrus od Mączakowej i parę innych cennych tkanin, jak Hani strój krakowski, mocno uszkodziła pleśń, szczęśliwie dywan po wysuszeniu odzyskał swoje barwy. Smok zajął swoje stanowisko w swojej budzie przy schodach od podwórza, na długim łańcuchu. Wnet jednak musiałem go ratować. Nienawidził Niemców i zajadle oszczekiwał wojskowych przechodzących obok ulicą. Pewnego rana szczekał jakoś szczególnie długo. Wyrzalem przez okno i zobaczyłem, jak jakiś oficer na ulicy wyciąga z kabury pistolet i zaczyna mierzyć do Smoka. To był moment – wyskoczyłem przez drzwi, bez wahania przeskoczyłem barierkę, by nie tracić czasu na schody i z wysokości 2 metrów spadłem na ręce i kolana przed Smoka. Zdażyłem. Oficer krzyknął coś na mnie, wyraźnie przestraszony, potem roześmiał się i odszedł. Trząsałem się ze zdenerwowania jak galareta. Nawet się nie potłukłem. Niespodziewanie Kmon przyprowadził naszą krówkę, dla której znalazło się miejsce w buciarni, nawet gdy halę zajęło wojsko, umieszczając w niej kilkadziesiąt koni artylerii konnej. Nam odebrano na strażnicę frontowy pokój i sienć.



Tato, namówiony przez znajomych, próbował przejąć odebrany Żydom sklep żelazny na Zawodziu. Nawet obaj z Jerzym zaczęliśmy tam pracować, ale szybko nam ten „zarząd powierniczy” odebrano, zresztą tato uznał tę działalność za mimo wszystko niemoralną i sam zrezygnował.

Praca w drukarni

Ja rozpocząłem pierwszą moją pracę w drukarni Zygmunta Turowicza. Praca zecerą przy kaszcie z czcionkami była jednak trudna, brudna i nudna. Z zazdrością patrzyłem na pracę Romka Muchy, który „kopał” nożną, dużą maszynę drukarską. Druga, mniejsza maszyna była wolna. Spytałem pana Turowicza, czy ja nie mógłbym na niej pracować. – Pracy jest dość – powiedział – Myślałem, że wolisz układać słowa, niż je wybijać na papierze. Romek cię nauczy. Romek, stale uśmiechnięty dwudziestolatek, o atletycznej budowie, ucieszył się, że będzie miał kolegę na sąsiedniej maszynie. Praca fizycznie była ciężka, lecz polegała na niemal tanecznym, harmonijnym zgraniu ruchu obu rąk, z których lewa podawała, a prawa zbierała karty w momentach, gdy otwierały się ciężkie powierzchnie prasy, wałek smarował skład, zanim zamknęły się z hukiem ponownie w rytm regulowany nogą cisnącą pedał. Dość szybko nabrałem wprawy, nawet pracując mogliśmy z Romkiem rozmawiać. Był świetnym kumplem. Do towarzystwa zacząłem palić. Po miesiącu dostałem pierwsze w życiu zarobione pieniądze, osiem

srebrnych dziesięciozłotówek. Kupilem sobie ciepłą jesionkę, a z Romkiem Muchą wypiliśmy butelkę wina. Tato próbował produkować mydło, ale jakoś mu nie wychodziło. Jerzy zaczął produkować klocki z odpadowego drewna, mnie namówił, żebym toczył kolumienki, po dwie do każdego kompletu, obiecując, że zarobię więcej niż w drukarni. Dostałem stanowisko w stolarni przy tokarni. Praca była przyjemna, też pedałowałem, kształtując kawałki drewna w ładne, okrągłe formy. Zarobku jednak nie było, to nie był czas na dziecinne zabawki.

Okupacja

Byłem wstrząśnięty, widząc co co Niemcy robią z Żydami. W parku, w kinie, przed lokalami, wszędzie napisy Juden und Hunden der Eintritt verboten. Naprawdę serce bolało, gdy widziało się tych ludzi z gwiazdami Dawida na rękawie, lawirujących na jezdni między pojazdami, bo nie wolno im było chodzić chodnikami i musieli nisko klaniać się każdemu spotkanemu Niemcowi. Umyślnie wypatrywałem znajomych, Weissa, doktora Holendra, mecenasa Aleksandrowicza i innych, i z daleka im się klaniałem, choć wiedziałem, że za to mogę dostać po głębie, albo i gorzej. Szliśmy kiedyś z panem Augustynem, naszym lokatorem, ulicą Polną obok starostwa, gdy zobaczyliśmy idącą z trudem, powoli naprzeciw starą, znajomą Żydówkę, kalekę po Heine Medina, z wykręconymi kończynami. Nagle nadjechał na motorze młody SSman, zeskoczył z motoru, chwycił staruszkę za włosy, brutalnie ściągnął z chodnika, wyjął pistolet, strzelił jej w głowę i rzucił do rynsztoka. Za to, że szła chodnikiem! Byliśmy 5 metrów od tego. Staliśmy osłupiali. Niemiec wsiadł na motor i za chwilę kazał jakiemuś chłopu włożyć ciało na furę i wywieść. Augustyn ścisnął mnie za łokieć. Pamiętajmy, powiedział.

Miesiąc później Władek Stolarz spotkał mnie na ulicy, poruszony. Chodź, musisz to zobaczyć. Poszliśmy na brzeg skarpy obok ruin dworu i ukryliśmy się wśród krzaków. Stamtąd z góry był widok na tak zwaną Szklarczykówkę, siedzibę Gestapo. Przed budynkiem, na dość szerokim placu, dawniej ogrodzie, w kilkunastu rzędach klęczało z uniesionymi wysoko rękami chyba koło stu mężczyzn, śpiewając nieznaną nam pieśń. Między nimi przechadzali się gestapowcy z pejcami i bili bez litości, gdy ręce opadały, lub śpiew był za cichy. Kilka ciał leżało bez ruchu. Oprawcy wrzeszczeli bez przerwy. Co chwilę słychać było strzał. To trwa już od południa – powiedział Janek, a już robił się zmrok. – Po coś mnie tu przyprowadził? – spytałem. – Teraz długo nie zasną. – Pokazałem to już kilku chłopcom, ale uciekli. Chyba wszyscy powinni widzieć. – Nie było jednak wielu ludzi w Gorlicach, których by rzeczywiście obchodził los gorlickich Żydów, za to wielu dziękowało losowi, zajmując za darmo blisko połowę mieszkaniowego majątku miasta.

Tato postanowił założyć ogródek powyżej hali buciarni, nawozu trochę było. Z Anielcią i Helą skopaliśmy i urządzili kilkanaście grządek, nawet ładnie rosły jarzyny, lecz żołnierze i ich konie wciąż włazili w szkodę. Tato się złościł, że konie w środku hali obgryzają drewniane słupy podporowe, co osłabia konstrukcję. Namalował na szerokiej sklejce i wystawił duży napis: Herren Soldaten werden gebeten fremdes Eigentum zu Schutzen. (Panowie żołnierze są proszeni o szanowanie cudzego mienia). Wszyscy się bali, że z tego wynikną kłopoty, tymczasem pomogło. Byli nawet grzeczniejsi.

Niespodziewanie od 14 czerwca 1940 r. pojawiła się możliwość kontynuowania nauki. Utworzono „Przygotowawcze Kursy Do Szkół Zawodowych Dla Gimnazjalistów”. W praktyce był to dalszy kurs gimnazjum, tylko bez historii, łaciny i religii. Było z początku sporo obaw, czy to nie jakaś pułapka, lecz widocznie Niemcy olśnieni nadzwyczajnymi powodzeniami na Zachodzie, złagodzili kura, choć tylko na

rok. Gmach gimnazjum był zajęty przez wojsko, lekcje odbywały się w kilku pokojach dużego budynku naprzeciw kościoła, w trudnych warunkach, bez żadnych pomocy naukowych. Dzięki temu udało mi się przerobić i zaliczyć czwartą klasę bez kłopotów. Z profesorów brakło już niestety prof. Morcinka, który jako pierwszy w Gorlicach, wraz z synem Zbyszkiem, kolegą z mej klasy, zginął w obozie w Oświęcimiu.

Żyliśmy jednak stale w napięciu i lęku o los zakładników. Co trzy miesiące zamykano w więzieniu na zmianę kilkunastu najbardziej znanych i szanowanych mężczyzn, ogłaszano ich listę z ostrzeżeniem, że będą oni rozstrzelani w razie jakiegoś napadu na władze, lub mienie niemieckie.

Ten rok nauki był dla mnie szczególnie istotny. Znalazłem się w nowym, zgranym kole przyjaciół obojga płci. Jakby nowe dojrzalsze życie. Złączyła nas siatkówka, a połączyła szczerą rosnącą sympatia. Centrum tej paczki stanowiły trzy dziewczyny: płowowłosa Jadzia Radyska o średniej urodzie i szarych oczach, poważna i wszystkim życzliwa, Zosia Kwiatkowska, zawsze radosna, niebieskooka, wiotka jasna blondynka i poważna, zawsze opanowana czarnowłosa i czarnooka piękna Aga Warzel. One były zawsze razem, towarzystwo męskie poza mną i Jankiem Jaworkiem było zmienne. Najwyraźniej przypadłem dziewczętom do gustu. Razem uczyliśmy się, razem graliśmy w siatkówkę na niewidocznym z ulicy szerokim podwórzu przy Parkowej, razem chodziliśmy nawet na węgry. Często bywałem zapraszany na obiadki czy herbatkę do Jadzi Redyskiej, lecz najmilej wspominam długie, zacięte mecze siatkówki, może dlatego, że były surowo zakazane. Byłem pod urokiem tych trzech uroczych, tak różnych dziewcząt i nie mogłem się zdecydować w której się zakochać, co im chyba najbardziej odpowiadało. Były i wieczorki taneczne i różne dyskretne zabawy, byle zapomnieć o wojnie, o której wieści co rusz waliły w głowę jak ciosy. Nawet twarda obrona samotnej Anglii wydawała się wielu beznadziejna.

Tymczasem w domu, w kuchni zjawił się dziwny gość. Obok pomieszczenia, gdzie była nasza krowka, wojsko urządziło chlewnię, której zaopatrzenie zlecono Karlowi Bernerowi, kompanijnemu popychadłu, czy nieudacznikowi. Ta to figura, jakby sobowtór karykaturalnego Agapita Krupki z przedwojennego IKC, mały, o twarzy tyle brzydkiej, co poczciwej, lisy z dziwnym kosmykiem włosów na czubku głowy, przyszedł zapytać, czy może część resztek z kompanijnej stołówki wlewać do żłobu naszej krowy, a przy okazji chwilę posiedzieć wśród porządnym ludzi. Co dzień przywoził wózkiem pięć wiader tych zlewek. Trzeba było widzieć leb naszej krowki po oczy zanurzony w wojskowej grochówce! Nazwaliśmy Karla Szwejkem, co do niego świetnie pasowało. Był krawcem z Berlina, nienawidził Hitlera i wojny, i robił wszystko, by utwierdzić opinię o sobie jako półidioty, nienadającego się do żadnych wojskowych czynności. Tato z przyjemnością prowadził z nim długie rozmowy, podziwiając jego inteligencję i postawę życiową. Był zdecydowanym socjalistą, jeśli nie komunistą. Przynosił często ze sobą niewielką guziczkową harmonię i pasją wygrywał na niej Pierwszą Brygadę, Marsylianę, i Jeszcze Polska Nie Zginęła, a nawet Międzynarodówkę, ku przerażeniu mamy, bo przecież dwa pokoje dalej była stale obsadzona chatownia! Ostrzegał nas także przed niektórymi podoficerami, zwłaszcza Kaszubem Drzyzgą, który lubił wpadać nieproszony do dziewcząt w kuchni i chwalił się wysoką rangą w SS.

Zima 1940-41 była wyjątkowo surowa. Do wywożenia mas śniegu z ulic zapędzono wszystkich mężczyzn. Zwały śniegu ładowało się na samochody ciężarowe i zrzucało na brzegu rzeki, a i tak trudno się było poruszać. Przeżyliśmy w domu jedną niespokojną noc. Temperatura spadła poniżej 30 stopni. Koło trzeciej nad ranem zbudził nas niezwykle hałas i ruch u Niemców w dyżurce. Rano okazało się, że żołnierz stojący na warcie w budce przed domem zamarzył na śmierć, stojąc dwie godziny oparty głową o

ścianę. Jednego mniej – skwitował tato. Boże Narodzenie było ciche i smutne. Mama zamartwiała się o Langów, którzy zostali we Lwowie. Odwiedziłem babki w Stróżach, ale radziły sobie same całkiem dobrze. W szkole szło mi nieźle, a moją trójkę dziewczyn uczyłem grać w brydża, i tak czas mijał. Wszyscy polowali na wiadomości radiowe, zaczęły się też pokazywać tajne gazetki. Wszystkie aparaty radiowe już we wrześniu należało oddać i za posiadanie radia groziła nawet kara śmierci.

Wielkanoc 41 przyniosła z wiosną jakąś otuchę, może za sprawą proboszcza, ks. Świewkowskiego, który płomiennym kazaniem rezurekcyjnym poruszył całą okolicę. Szanowany nawet przez Niemców za działalność jeszcze z pierwszej wojny, kazanie zaczął od zawołania – Zmartwychwstaniemy! – i okrzyk ten powtarzał w tekście kazania w takim kontekście, że każdy rozumiał – Zwyciężymy! Miasto zamarło z przerażenia, gdy niedługo potem wzięto go jako zakładnika, ale szczęśliwie zwolniono go w zwykłym terminie.

Niedługo później, wcześniej niż oczekiwano, zakończono rok szkolny. Otrzymaliśmy świadectwa, lecz równocześnie powiadomiono, że na tym koniec nauki. Już po tygodniu dostałem wezwanie do służby w Baudienstcie. Była to przymusowa, miesięczna praca fizyczna na rzecz miasta, którą musieli odbyć wszyscy chłopcy od 16 do 20 roku życia, organizowana przez wojsko. Prawdę mówiąc nie była to zła sprawa. Kompanie po 100 chłopców dzielono na 4 drużyny, które dowodzone były przez starszych vorarbeiterów, Polaków mających zaufanie władz, ale też najczęściej porządnymi, sprawiedliwymi ludźmi. Takim vorarbeiterem był też przez miesiąc nasz Jerzy. Zakwaterowani byliśmy w wygodnym budynku, karmiono nas całkiem nieźle. Rygor był ostry, pobudka o szóstej i po śniadaniu marsz ze śpiewem do pracy. Stale usiłowaliśmy śpiewać wojskowe polskie marsze, ale tego nam już Niemcy zabraniali. – Macie śpiewać „tango milonga, und so weiter”. Praca też nie budziła naszego sprzeciwu, bo faktycznie poprawialiśmy infrastrukturę miasta. Kocie łby na większości ulic zastąpiła kostka. Zniwelowano częściowo rynek, stanął nowy drewniany most do parku. Tylko za rzeczywiste wykroczenia można było trafić do karnej kompanii w kamieniołomie.

Ja na początku trafiłem do ciężkiej pracy. Kilofem wrywałem ciężkie kamienie podłoża bruku, normę dzienną też dostawałem solidną. Poradziłem sobie sprytnie. Wypracowałem metodę, sposób takiego ustawienia kilofa pod kamieniem, że bez trudu łamałem trzonek. Potem był dwukilometrowy marsz do magazynu po nowy kilof i pół dnia pracy mijało. Po dwu tygodniach skierowano nas do niwelacji gruntu przed nieukończonym jeszcze budynkiem nowej szkoły, który zajęło wojsko. Tam praca była lżejsza i tam już dotrwałem do końca służby. Miło wspominałem wieczory po pracy, przy ognisku, długo śpiewaliśmy chórem pieśni i piosenki.

Wywózka

Po powrocie do domu trafiłem na Szwejka, który wyraźnie na mnie czekał. Otóż powiedział, że jego kompania wyrusza na front, a jemu żal brać ze sobą harmonii, którą łatwo mógłby tam stracić. Zostawi ją więc mnie, a jeśli wróci, to ją ode mnie odbierze. Zachodziliśmy w głowę, o jaki front chodzi, on też nie wiedział. Pojęcia nie miałem o grze na harmonii. Natychmiast pobiegłem do kolegi, który miał podobną, tylko dużo większą i zacząłem naukę, ale w ciągu paru dni nauczyłem się zagrać tylko pół

melodii walca.. Zdążyliśmy zobaczyć odmarsz kompanii Szwejka, i jego samego, maszerującego bez plecaka, z ręką na temblaku. między dwoma sanitariuszami. Jak on to wykombinował?

Dwa dni później, 10 czerwca. tato dostał wezwanie do Starostwa (Kreishauptamtu), gdzie usłyszał: W ciągu tygodnia ma pan wraz z rodziną opuścić Gorlice i pod karą śmierci nie wolno wam przebywać na terenie powiatów: nowosądeckiego, gorlickiego, jasielskiego, krośnieńskiego i w całym województwie lwowskim.

– Wobec tego proszę o przepustkę na transport koleją dla rodziny i rzeczy.

– Żadnych przepustek. Macie się zabrać własnymi środkami.

Tragedia, a również pewność, że będzie atak na Sowiety. Jednak co robić? Bliskich mamy w Stróżach, ale to nowosądeckie, w Krakowie, to znów za daleko na „własne środki”. Najbliższe miasto w dozwolonym powiecie tarnowskim, to Ciężkowice, tam jednak nikogo nie znamy! Tato biegł i dzwonił po znajomych, wreszcie doktor Ślebodziński podał nazwiska osób u których tam można będzie prosić o pomoc: jego brata, rodzinę Kunhów, która tam ma aptekę, wreszcie doktora Podhoreckiego. Zaczęło się znów pakowanie, oddawanie większości mebli, i wielu kartonów z rzeczami na przechowanie u znajomych i sąsiadów. Niezawodny Kmon zajął się krówką, a Smoka zawiózł do klasztoru w Bieczu, gdzie gwardian Szelaḡowski obiecał opiekę nad nim. Anielcia oświadczyła, że jedzie z nami i służyć będzie nawet za darmo, zawsze i wszędzie. Zresztą nie miała gdzie pójść. Dni biegly nieubłaganie. Wreszcie tato wynajął cztery furmanki, załadowaliśmy na nie niezbędne meble, pościel, odzież, kuchnię, drobne sprzęty i ile się dało zapasów żywności. Karawana ruszyła przez miasto, żegnana przez znajomych i przyjaciół, a ja siedziałem na górze tłumoków i grałem na harmonii moją wyuczoną połówkę walczyka.

Do Ciężkowic, jakieś dwadzieścia kilometrów, dotarliśmy pod wieczór. Woźnice złożyli nasze rzeczy na rynku i pojechali. Otoczyło nas kilkunastu Żydów i chętnie zgodzili się powiadomić o naszym przybyciu kogo trzeba. Po kilkunastu minutach pojawił się przystojny, jasnowłosy młody człowiek, przedstawił się jako doktor Stanisław Podhorecki. – Znam państwa sprawę. Sytuacja jest bardzo trudna. Wszystkie lokale mieszkalne wynajmowane zwykle latem letnikom są zajęte przez liczne rodziny wysiedlone z Wielkopolski i Pomorza. Nie ma mowy, by coś się dało wynająć. Mam jednak propozycję. Moi rodzice mają tu dom, właściwie to jest wiejska chata. Składa się z dwu sporych izb i dwu kuchni. My się zmieścimy w jednym pokoju i kuchni, a państwo mogą zająć drugie. Wygodnie nie będzie, ale jakoś przeżyjemy. Ja zamieszkać w gabinecie lekarskim na dole miasteczka.. O czynszu porozmawiamy po wojnie. Przedstawię państwo mojej mamie. Ona tu rządzi. Poproszę mojego brata Mietka. Złożymy na razie rzeczy na podwórzu. Tę noc prześpicie państwo u naszych sąsiadów w jednym pokoju, przez noc uprzątniemy połowę domu i jutro rano mogą się państwo wprowadzać.

Trudno opisać nasze wzruszenie wobec takiej dobroci i wspaniałomyślności obcych przecież ludzi. Pani Podhorecka, niepozorna, lecz niezwykle energiczna niewiasta, przywitała nas równie serdecznie, na widok łez wzruszenia mamy uścisnęła ją, popłakała się też dla towarzystwa, miała tylko obawy, czy ich propozycja nas zadowoli.. Mietek, młodszy ode mnie o cztery dni, z chęcią zabrał się do pracy. Tak poznałem przyjaciela na wiele, wiele lat. Prócz niego był w domu ojciec, starszy cichy mężczyzna, jakoś dziwnie przez domowników traktowany pogardliwie, bez szacunku, często nawet posiłki zjadał osobno. Później dowiedziałem się, że on, jak i rodzina nosił nazwisko Miętus, a przed Pierwszą Wojną był

austriackim żandarmem. Nazwisko zmienili z konieczności, gdy Staszek, który jako najlepszy zdał egzamin konkursowy do Wojskowej Akademii Medycznej, a później z takim samym efektem jako prymus uzyskał dyplom, dowiedział się, że oficer Wojska Polskiego nie może nosić nazwiska ośmieszającego, czy budzącego wstręt, czy pogardę, za jakie uznano Miętus. Młodzi (a był jeszcze brat Edward, którego nie poznałem), a zwłaszcza matka, przyjęli nowe nazwisko z radością, dla starego musiało to być jednak ciężkim przeżyciem.

W Ciężkowicach

Zagroda Podhoreckich była mała. Położona była przy wąskiej, stromej uliczce, niedaleko rynku. Na niewielkim podwórzu konna furmanka z trudnością mogła zawrócić. Prócz domu była stajenka, murowana piwnica wkopana w ziemię i przykryta sztucznym, zielonym pagórkiem, i wygodka połączona zadaszonym przejściem z domem. Obok domu był mały ogródek kwiatowy i studnia z znakomitą, czystą wodą. Przywieziony stół, krzesła, dwa łóżka i mały kredens wypełniły dużą, dość niską izbę z dwoma oknami. W kuchni Anielcia rozpakowała sprzęty, spała na składanym łóżeczku. Postanowiono, że Mietek i ja będziemy spali na strychu, na sianie. Urządziliśmy legowiska i pod pierzynami spało się wspaniale. Wnet zżyliśmy się jak bracia.

Istotnym problemem stało się oświetlenie i opał. Nie było elektryczności. Nie mieliśmy lamp naftowych, zresztą i o naftę nie było łatwo. Nowością dla nas były lampy karbidowe. Było z nimi więcej zachodu, pachniały też nie lepiej, ale ich światło było dużo jaśniejsze. Gospodarze ułatwili nam zakup karbidówek i lamp naftowych, trudniej było do nich przywyknąć. O zakup węgla było bardzo trudno, trzeba się było starać o drewno. Leśnictwo w Zborowicach zatrudniało chętnych do pracy przy „prześwietlaniu” lasu, to jest wycinaniu cieńszych, czy słabszych drzew tam, gdzie rosły zbyt gęsto. Za to wycięte drzewa można było wziąć za darmo. To była robota w sam raz dla mnie. W dwa tygodnie zwieźliśmy dość drewna, by starczyło na zimę. Oczywiście wziąłem się do cięcia i rąbania.

Każdą wolną chwilę spędzałem jednak na upartym ćwiczeniu gry na harmonii. Wieczorami siadałem na trawie na piwnicy i wygrywałem najczęściej z początku pobożne, bo wolne, melodie, a później walce, tanga i co się tylko dało. Słyszeć mnie było w całym mieście.

Wolnych chwil było jednak co raz mniej. Zaczęło się życie tak pełne wrażeń, poszukiwań pracy, nowych znajomości, poznawania okolicy, że nie wiadomo co ważniejsze. Tato rozpoczął znów próby produkcji mydła i znów mu nie szło, chyba z braku potrzebnych składników. Szczęśliwie nadal działała pomoc kolegów z Rafinerii i dość regularnie otrzymywał prowizję za dostawę asfaltu dla firmy budującej baraki dla wojska. Jerzy znalazł pracę jako leśniczy w Kamienicy. Ja próbowałem pracować jako pomoc inżyniera geometry, ale ganiecie z tyczką po rozmiękłych polach za parę groszy obrzydło mi, gdy zgubiłem w błocie but i ledwo go znalazłem. Rąbałem drzewo, pasłem krowę gospodarzy, aż trafiła się przygoda z pawiem księdza Wilka. Chodził nade mną dumnie po płocie, aż nagle skoczył mi na głowę i w momencie wykuł w niej osiem małych, głębokich dziur. Krowa zaprowadziła mnie do domu, bo krew zalała mi oczy i nic nie widziałem. Zemsta była słodka, gdy ksiądz Wilk zaprosił mnie na pieczeń z tego drańskiego pawia.

Razem z Mietkiem rozpoczęliśmy naukę angielskiego u sympatycznej teacher, starszej już żydówki, która przychodziła do nas wieczorami, zaczęto też organizować tajne nauczanie. Profesorów,

wysiedlonych z Poznania, jak prof. Kulakowski, czy Adam Bochnak, kustosz Wawelu, było dość, młodzieży chętnej do nauki też. Gorzej było z lokalami. Lekcje odbywały się co raz to gdzie indziej, z obawy przed dekonspiracją, w małych grupkach, na plebanii, w sutenerach, na zapleczu apteki itp. Szło to powoli, uparcie, ale co raz zaliczało się jakiś przedmiot. Spotkania młodzieży ułatwiły wzajemne poznanie się, budzenie zaufania i tworzenie oddziału AK. Obaj z Mietkiem niewiele o tym wiedzieliśmy, uznano nas za zbyt młodych do akcji zbrojnych. O akcjach, dywersji mówiło się i słyszało często. Nam wydał się możliwy wypadek na wojskowy, lub towarowy pociąg. Sprawa była prosta. Napelniliśmy kieszenie piaskiem i nocą podeszliśmy pod stację od strony rzeki. Stał długi towarowy pociąg, lecz oświetlenie było bardzo silne. Długo czekaliśmy na dogodny moment, by niepostrzeżenie podkraść się do ostatnich wagonów. Po wślizgnięciu się pod wagon już byliśmy niewidoczni. Od koła do koła przemykaliśmy się, aż cały piasek z kieszeni wsypaliśmy do maźnic osi. Gorzej było z wycofaniem się. Strażników było więcej, zrobił się ruch. Pociąg najwyraźniej miał ruszyć. Nie zostało nic innego, jak położyć się tuż obok koła i poczekać, aż pociąg odjedzie. W końcu ruszył, szczęśliwie nadjechał osobowy, zrobił się ruch i mogliśmy bezpiecznie wstać i wrócić do domu. Takie zapiaszczone osie musiały się zatrzcąć i zapalić, w dodatku daleko i żaden odwet nie groził. Usmarowaliśmy się jednak okropnie, Mietek podarł spodnie. Więcej już takiego ryzyka nie odważyliśmy się powtórzyć.

Ciężkowice miały swoje uroki. Położone w zakolu rzeki Białej, wśród wzgórz, kusily rezerwatem skalnym „Skamieniałe Miasto”, Czarcim Wąwozem, trzema osobno stojącymi, wysokimi skalami, na które mógł się wspiąć tylko ten, kto znalazł sposób, inny dla każdej z nich, wysokim urwiskiem dawnego kamieniołomu, czy wreszcie bliskimi, bogatymi w grzyby lasami. Wszystko to poznałem, to sam, to w towarzystwie licznych poznanych przyjaciół, często przy ognisku, czasem z „poderwaną” dziewczyną. Żyło się szybko, młodzi chcieli się bawić. Czasem porywano mnie niemal siłą wieczorem razem z harmonią, niedostatki umiejętności gry łagodzone bimbrem i chcąc nie chcąc grałem do tańca aż do końca godziny policyjnej.

We wrześniu '41 miasto boleśnie odczuło rabunek wszystkich dzwonów z kościelnej dzwonnicy, które wojsko zrzuciło z góry na bruk. Jakby brakło nagle kogoś bliskiego.

Praca w Spółce Rybackiej w Tarnowie

Niedługo później znalazła się dla mnie praca. Inżynier Leo powiadomił mnie, że jego znajomy Niemiec, który kieruje fabryką przetworów rybnych w tarnowskim getcie, potrzebuje młodego pracownika, zaufanego, „z sumieniem”. Pojechałem natychmiast z pismem po niemiecku, które umożliwiło mi wejście do getta. Dyrektor Wilhelm Schonborn, sympatyczny, dobrze po pięćdziesiątce, słabo mówił po polsku. Miałem pracować przy produkcji, a także załatwiać różne sprawy, czy zakupy na mieście, do których nie mógł wysyłać Żydów. Byłem drugim Polakiem pracującym w Spółce Rybackiej. Pierwszym był starszy ode mnie o trzy lata Wacek Wolak, wesół, odważny chłopak, już świetnie obznajomiony ze sprawami firmy. Ja miałem mu pomagać. On też pomógł mi znaleźć wygodną kwatere blisko rynku, w dodatku z wyżywieniem, za 120 zł miesięcznie, co mi zupełnie odpowiadało. Pracę rozpocząłem od oprawiania ryb i robienia rolmopsów. Wbrew pozorom nie była to łatwa praca, gdy się chciało mieć niepokaleczone palce, a efekt miał wyglądać apetycznie. Sztuki tej uczyły mnie doświadczone niewiasty, które w liczbie 26 stanowiły większość personelu. Poza nimi było tylko dwu mężczyzn, starszy już wędzacz, który z powodzeniem robił wędzone śledzie z wiślanych brzan, czy sandaczy, i młody Fajgel, silny jak atleta, który pilnował czystości i porządku.

Kobiety przyjęły mnie bardzo przyjaźnie, uczyły mnie przyrządzania różnych potraw z ryb, a przede wszystkim z odpadów, które się zwykle po patroszeniu wyrzuca. Dyrektor pozwolił kobietom wnosić po pracy wszystkie odpady po oprawianiu ryb, pouczył je też, by wyrzucać tylko woreczek żółciowy. Całą resztę, z głowami, ościami, płetwami i ogonami mleć w maszynce i gotować zupy. Dobry człowiek wielu ludziom złagodził męki głodu, który zaczynał już wtedy panować w getcie. Mieszkałem w ładnym, wynajętym pokoju z obiadami. Jednak gospodyni prosiła mnie delikatnie, bym na obiady przychodził nieco później, gdyż pachnę nieco zbyt mocno rybami.

Naszym, z Wackiem, ważnym zadaniem były piątkowe nocne wyjazdy ciężarowym samochodem z beczkami wody wzdłuż Wisły, i skupowanie od rybaków żywych ryb, które należało przed świtem, żywe, przywieść do Spółki. Akcją kierował Wacek, on też, razem z kierowcą wyceniał ryby i płacił rybakom. Za ryby płaciło się częściowo pieniędzmi, a częściowo sieciami i solą. Do mnie należało pilnowanie wagi i wydawanie sieci. Szczęśliwie wszyscy mieli jeden cel: możliwie dobrze zapłacić rybakom, jak najbardziej oskubać firmę i szczęśliwie wrócić przed świtem. Wracając, staraliśmy się, już za bramą getta, zgubić parę ryb, by się dostały w ręce głodnych Żydów. Takie wyjazdy nocą za Mielec po ryby odbyłem tylko dwa, nie zapomnę jednak gościnności rybaków i jajecznicy z 8 jaj z boczkiem, które zjadało się przy okazji. Przepracowałem tam chyba trzy miesiące, aż pewnego dnia dowiedziałem się, że w Krakowie pojawia się możliwość studiów. Wróciłem do Ciężkowic i razem z Mietkiem Podhoreckim pojechaliśmy do Krakowa.

Próba studiów w Krakowie 1942

Państwowa Szkoła Techniczna Górniczo-Hutniczo-Miernicza w gmachu byłej Akademii Górniczej na Krzemionkach w Krakowie zaczęła przyjmować zapisy na początku 1942 roku. Wykłady rozpoczęli przedwojenni profesorowie, którzy uniknęli losu profesorów UJ z 39 r. Ich odwaga zachęciła sporo młodzieży do próby podjęcia nauki mimo wojny. Obaj z Mietkiem złożyliśmy papiery i bez problemów zostaliśmy przyjęci na wydział mierniczy. Trzeba było kupić rysownicę i przybory kreślarskie oraz kilka podręczników.

Pani Kowalska zaproponowała mi, żebym zamieszkał z jej mężem na Wąskiej, blisko Długiej. Punkt był dobry. Miałem blisko do tramwaju, sam pokój jednak był ciemny, chyba w suterenie. Pan Kowalski, były dyrektor Fabryki Maszyn w Gliniku, przyjął mnie uprzejmie, był jednak dość trudnym gospodarzem. Miał swoje dziwactwa. Zaskoczył mnie zaraz nazajutrz, wstając rano zapytał – Czy pan się już wysrał? – zdębiałem. – No bo co za sens ma „dzień dobry” czy podobne, skoro najważniejszą rzeczą jest zdrowe wypróżnienie. – Jednak, gdy następnego ranka powitałem go jego pozdrowieniem, był wyraźnie urażony. Staruszek nie ułatwiał mi nauki, nie pozwalał na zaświecenie żarówki itp.

Chodziłem na wykłady geologii, geometrii wykresłej I planimetrii, lecz najwięcej czasu i wysiłku wymagały ćwiczenie z rysunku technicznego i technicznego pisma. Jako urodzony dysgrafik miałem ogromne trudności w rysowaniu prostych, kształtnych liter. Podobało mi się to jednak i postanowiłem poprawić mój charakter pisma, bo bazgrałem tak strasznie, że sam siebie nieraz nie mogłem odczytać. Zacząłem pisać każdą literę oddzielnie, jak w alfabecie greckim, starając się by każda była wyraźna. Było to trudne, pisałem wolniej, lecz efekty są widoczne do dziś. Nadal piszę nierówno, ale jednak czytelnie. Największy kłopot mieliśmy z Mietkiem z dojazdami na Krzemionki. Tłok był zawsze taki, że wejście do

tramwaju z dużą rysownicą graniczyło z cudem. Pierwszy semestr zaliczyliśmy, choć matematykę oblałem szpetnie.

Prócz nauki życie toczyło się w atmosferze niepewności i tymczasowości. Każdy dzień był udany, jeśli kończył się spokojnie. Wszedłem w krąg młodzieży związanej z rodziną pani Marii Madeyskiej, od młodości zaprzyjaźnionej z rodzicami. Każdy pobyt w Krakowie związany był zawsze z wizytą u Madeyskich. Pani Maria była kasjerką w Rzymskiej Łażni na ulicy św. Sebastiana i mieszkała z synami w mieszkaniu nad łaźnią, która też należała do członka rodziny. Z zapalem uwodziłem Zosieńkę, córkę właściciela łaźni, jak zresztą wielu innych kamienic i przedsiębiorstw w Krakowie. Przyjęto mnie w liczne grono młodzieży. Spotkań, zabaw i potańcówek po prostu nie pozwalano mi opuszczać, wbrew niepewności i grozy okupacji. Starszy syn pani Marii, Stefan, był wówczas uwięziony na Montelupich. Pamiętam kilkunastoosobową wyprawę na zabawę we dworze na wsi obok Stróż. Była to szalona, pijana, przetańczona noc w starym, modrzewiowym dworku, jednym z nielicznych ocalałych po galicyjskiej rzezi. Podczas, gdy wszyscy pili i tańczyli, wybrani przejmowali od dostawców broń dla krakowskiego podziemia. Dowiedziałem się o tym dużo później.

Wieczorem, przed rozpoczęciem się drugiego semestru wpadł do mnie zdyszany Mietek. –Jutro wywożą całą szkołę, profesorów i uczniów! Jest wiadomość od ukraińskich policjantów. Zabrano wszystkie listy uczniów i profesorów, wraz z adresami. Sekretarka dziekanatu radzi, by na razie nie wracać do domów, ale gdzieś przeczekać.

Profesorowie zostali już ostrzeżeni. Ostatecznie zabrano blisko stu studentów i zamknięto w hali gdzieś blisko dworca, pod strażą ukraińskich policjantów. Ci jednak, przekupieni, nie pilnowali zbyt starannie, i blisko połowa uciekła. Podobno ostatnia z uciekających zobaczyła nagle za uchylonymi drzwiami policjanta i ze strachu krzyknęła. – Uciekaj głupia, póki cię nie widzę! – Do pociągu, na roboty do Niemiec załadowano blisko 50 osób, ale i te zwały z transportu. Za rzetelność tych ostatnich informacji nie ręczę. Pochodzą od Bohdana Siokały, mojego kolegi z klasy w Gorlicach, Ukraińca, który miał znajomych w policji. Oczywiście najbliższym pociągiem wróciliśmy do Ciężkowic.

Straż pożarna

Po powrocie z Krakowa zastałem w domu niecodziennych gości: pana Andrzejczaka - komendanta gorlickiego oddziału zawodowej straży pożarnej, oraz pułkownika Jerzego Lgockiego - Kierownika Technicznego Pożarnictwa Generalnego Gubernatorstwa z synem. Pułkownikowi groziło aresztowanie za utworzenie i kierowanie tajną organizacją oporu w ramach struktur straży pożarnych GG o nazwie Skala. Organizacja została wykryta przez gestapo i już trwały aresztowania. Lgockiemu udało się zbiec wraz z rodziną i chodziło o zapewnienie im bezpieczeństwa. Nasze przybycie z Mietkiem i sprawa wywózki szkoły spowodowały ożywioną dyskusję. Ja byłem skłonny zlekceważyć niebezpieczeństwo, raczej, jak Mietek, przesiedzieć jakiś czas na strychu, aż sprawa ucichnie, jednak Lgocki i Andrzejczak uważali, że groźba jest zbyt duża, a wywóz na roboty przymusowe i tak mi grozi, więc najlepiej będzie, jak zmienię dane osobowe i zniknę z domu. Rozwiązanie zaproponował mi Lgocki:

– Dam ci list polecający, pojedziesz do Warszawy i znajdziesz bezpieczne zajęcie w Centralnej Szkole Pożarniczej aż do końca wojny.

Pomysł spodobał się wszystkim, miałem jednak zastrzeżenia do dalszych planów zmian. Ponieważ byłem zbyt młody, wymyślili, że wezmę metrykę Jerzego i jako Jerzy Węgrzyn, student drugiego roku rolnictwa, będę lepiej przyjęty i poważniej traktowany. O papiery mam się nie martwić, tam załatwią mi wszystko. Być starszym nagle o 4 lata, i te studia, przecież każdy szybko wykryje, że coś jest nie tak!

– Dasz sobie radę, tam będzie więcej takich, z którymi jest coś nie tak.

Słusznie spodziewałem się, że z tego będą kłopoty, ale nikt mnie nie słuchał. Dostałem jeszcze od Jerzego oficerskie buty, a od Lgockiego ciepły kożuszek z wielbłądziej wełny i list polecający do pułkownika Buszy, komendanta szkoły, z ostrzeżeniem, by nikt inny tego listu nie zobaczył. I w drogę!

Serce mi biło jak młotem, gdy przez bramę gmachu na Słowackiego 52 przepuścił mnie stojący na posterunku strażak ze wskazaniem drogi do dyrektora. Ze strachu omal nie zwałem sprzed drzwi. Z walizką w jednej, a listem w drugiej ręce stanąłem przed biurkiem. Poważna twarz pułkownika, czy majora Buszy jakoś dodała mi odwagi.

– Mam list i prośbę o pomoc – powiedziałem nieśmiało.

Czytał list uważnie, potem spytał czy pułkownikowi Lgockiemu nic nie grozi.

– Ma pan jakieś doświadczenia z pracą w straży pożarnej?

– Nie

– Tak nie może być. Rozróżni pan drabinę od sikawki? Będzie pan mówił, że brał pan udział w akcjach ochotniczej straży pożarnej, a tu z pracą się zapozna. Proszę o pana metrykę, wyrobimy panu legitymację. Kenkarta nas nie interesuje.

Podniósł słuchawkę:

– Proszę poprosić do mnie majora kwatermistrza.

Postać oficera, który niebawem się pojawił zafrapowała mnie. Niski, czarnowłosy, z ogromną bliźną po cięciu szablą od wysokości lewego oka do brody i o nogach tak krzywych, jakby nigdy nie zsiadał z konia, wyglądał zupełnie egzotycznie.

– Mamy posłańca od Jastrzębia, proszę się nim zająć, umundurować, wpisać w stan i znaleźć jakieś zajęcie – powiedział krótko pułkownik.

Teraz sprawy potoczyły się szybko. Major Korzewnikjanc oddał mnie w ręce sierżanta Szewczyka.

– Ma pan we wszystkim słuchać pana sierżanta. On pomyśli o tym co dalej.

Starszy już, sympatyczny sierżant Szewczyk zaprowadził mnie do magazynu, gdzie dostałem mundur, czapkę, wygodne buty saperki i kartki na wyżywienie w stołówce. Po obiedzie zapytał mnie o wykształcenie, wyraźnie zaskoczony tymi dwoma latami rolnictwa, zaprowadził mnie do sali oznaczonej

„Oddychanie wspomagane” – tu są wszystkie aparaty tlenowe, maski gazowe i sprzęt do sztucznego oddychania. Jak pan się z tym zapozna, to może będzie pan instruował kursantów w tej dziedzinie. Tu jest cała literatura na ten temat

– Nie wiem, czy dam radę – miałem poważne wątpliwości.

– Ale teraz spać. Jutro pobudka o 7, o 8 zaczynamy pracę.

Luka w pamięci. Zupełnie nie pamiętam gdzie ja w tym czasie spałem. Na pewno nie miałem oddzielnego pomieszczenia, bo takich nie było, ale gdzie i z kim? Od rana studiowałem trzy typy aparatów tlenowych, przymierzałem maski, jednak z teorią ich działania, zwłaszcza z zasadami bezpieczeństwa, ich działania trudno się było zorientować. Typy różniły się znacznie. Literatura fachowa była dość trudna, w części niemiecka. Sierżant Szewczyk obserwował mnie dyskretnie przez kilka dni. Na razie zatrudnił mnie przy zapelnianiu butli tlenowych powietrzem. Była to dość ciężka, nużąca praca, wciskanie długą dźwignią powietrza przez pompę z manometrem, do ciśnienia 300 atmosfer, do litrowej, stalowej butli. Szybko porobiły mi się pęcherze na rękach, ale uparcie pracowałem, żeby okazać maksimum dobrej woli. Po trzech dniach zostałem wezwany do biura majora Korzewnijkjanca. Wchodzę zaciekawiony i za biurkiem dostrzegam Krysię Pawłowską, kuzynkę, poznaną w Gliniku jeszcze przed wojną. Wyjaśniłem tajemnicę zmiany danych.

– A ja mam dla ciebie legitymację – mówi Krysia, – zobaczyłam nazwisko i powiedziałam, że chyba ciebie znam. – Ee, to jakiś góral, powiedział major. Ale chciałam zobaczyć i ogromnie się ucieszyłam!

Zaraz dostałem zaproszenie do ciotki Pawłowskiej, która właśnie niedawno ponownie wyszła za mąż. Oczywiście tego samego wieczoru serdecznie mnie ugoszczono. Nowy mąż okazał się dziwnym typem szlachciury, łysym jak kolano, z olbrzymimi wąsiskami od ucha do ucha, wszystkich traktujący z góry. Krysia go nie cierpiała. Odkrycie rodziny ogromnie mnie podniosło na duchu.

Legitymacja otworzyła mi drogę na świat i zapewniała całkowite bezpieczeństwo. Nagłówek i pieczęć „Oberbefelshaber der Ordnung und Sicherheitspolizei GG” dawały prawo poruszania się po godzinie policyjnej i wolność we wszelkich łapankach. Stanowiła jednak dużą groźbę w razie spotkania z partyzantami, którzy na mundurach się nie znali, a nasze miękkie czapki, z haftowanym płomykiem, mogącym przypominać trupa główkę, mogły wystarczyć by właściciela rozwalić, zanim wytłumaczy kim jest.



Po kilku dniach sierżant Szewczyk dał mi nowe zadanie.

– Chcemy na podwórzu zbudować porządny śmietnik. Pan na studiach ze sprawami higieny wsi miał na pewno do czynienia. Otóż jest prośba. by pan zaprojektował w właściwy sposób tę budowę.

Wydawało mi się, że śmietnik to nic trudnego, ale techniczne opisanie, kosztorys, zapotrzebowanie na materiały, no i wymogi sanitarno-epidemiologiczne wykraczały daleko poza moje możliwości. Coś tam nabazgrałem, ale chyba lepiej się było już na początku jakoś wymówić. Zrozumiałem sprytny sposób sierżanta żeby dyskretnie zweryfikować to moje wyższe wykształcenie.

– Pan przy tych aparatach tlenowych po prostu traci czas. Jest pan sam, a powinien pan być wśród ludzi. Proponujemy panu pracę strażaka w Oddziale Specjalnym. Nie będzie to łatwe. Wstąpi pan jako już doświadczony strażak. Będzie to też trudne dla członków sekcji, którym będzie pan musiał możliwie szybko dorównać. Sierżant Banaszak wszystko wie. Będzie pana osobno uczył i ćwiczył i nie jest tym zachwycony, ale proszę mi wierzyć. Wyjdzie to na dobre nie tylko panu, i to na wiele lat.

Zgodziłem się oczywiście, zresztą nie miałem wyboru. Zaczęły się trudne dni. Zamieszkałem we wspólnej sypialni sekcji z ośmioma dorosłymi chłopcami promieniejącymi siłą, sprawnością i radością życia. Poinformowano ich, że wracam z leczenia po zatruciu czadem i muszę przejść rehabilitację pod kierunkiem sierżanta Banaszaka i na razie nie będę pełnił czynnej służby. Budzono mnie o 5,30 i do śniadania naprzód teoretycznie wbijano mi w głowę tempa sprawiania poszczególnych sprzętów, a potem ze sprzętem. Nie było to proste, wykonywałem części czynności wykonywanych normalnie zespołowo. Później obserwowałem wspólne ćwiczenia sekcji, by wiedzieć jak co robić. Ważną sprawą był czas. Po 10 dniach takiej nauki sierżant oświadczył:

– No, zaczynamy służbę, ale jak obniżysz sprawność sekcji, to ci chłopcy jaja oberwą, a ja im pomogę.

Podziękowałem mu serdecznie za trud i czas, który dla mnie poświęcił, choć przecież nie musiał. Sypialnia ośmioosobowej sekcji mieściła się wprost nad garażem. Naprzeciw rzędu piętrowych łóżek widniały dwa okrągłe otwory o średnicy 1.5 m, w środku których stały ślizgi. gładkie rury grubości uda. Najbliżej ślizgu obowiązkowo spał kierowca Kierzkowski. W czasie służby spać należało w białym. Spodnie złożone na cholewkach saperek, a bluza leżała na brzegu łóżka, nicem do przodu. W ten sposób wstawanie na alarm wymagało tylko trzech ruchów: skok w buty, podciągnięcie i zapięcie spodni i tyłem włożenie rąk równocześnie w rękawy bluzy i skok do ślizgu. Zapinanie, włożenie uzbrojenia dokonywało się już w samochodzie w czasie jazdy. Zjazd ślizgiem był prawdziwą sztuką. Zaciskało się na nim ramiona i uda dopiero w połowie wysokości. U stóp ślizgu był elastyczny krąg, od którego należało natychmiast odskoczyć, by nie dostać butami w głowę od następnego zjeżdżającego. Wymaganym czasem od alarmu do wyjazdu przez bramę było poniżej 20 sekund.



Pamiętam nazwiska tylko większości chłopców mojej sekcji. Największym autorytetem cieszył się, po sierżancie Banaszaku kapral Domański poważny i zawsze opanowany, znawca bomb i materiałów zapalnych. Po nim już na zupełnie równych prawach wszyscy pozostali: Lucek Kotański, Bogdan Borodicz, wieczny kpiarz i świntuch, kolekcjoner „gier półslówek”, Michał Naimski, poważny, trzymający się nieco osobno mój znajomy jeszcze z Gorlic, Tadeusz Żebrowski, najniższy i bardzo silny, wesóły, mój najlepszy przyjaciel przez cały czas służby w Warszawie, Kwaśniewski, syn szefa drugiej sekcji. Nie pamiętam nazwiska ostatniego z kolegów, choć twarz jego i postać rozpoznałbym na pewno.

Pierwszym zadaniem jakie miałem, był posterunek trzygodzinny przy bramie Szkoły, po instrukcji kogo mam wpuszczać bez wylegitymowania. Było popołudnie. Zatrzymałem starszego pana, jakoś bardzo pewnego siebie:

– Kto do kogo?

Zrobił gest, jakby mnie chciał odsunąć od siebie. Ja za toporek

– Kto i do kogo?

Pan pokazał legitymację – Pułkownik Kalinowski, Komenda Główna.

Ja dwa kroki wstecz, salutuję

– Panie pułkowniku, strażak Węgrzyn melduje się na posterunku.

– Od jak dawna na służbie? – Pojutrze będzie trzy dni panie pułkowniku.

– Dobrze.

Jakoś ten dialog stał się znany, nie był chyba oryginalny, upewnił jednak moją pozycję w sekcji.

Zaczęła się praca. Ćwiczenia odbywały się po 4 godziny dziennie, jeśli nie było alarmu. Akcje indywidualne szły mi nieźle, ale przy sprawianiu drabiny francuskiej usłyszałem:

– Ruszasz się jak mucha w smole, w ciąży, po tyfusie.

Ten epitet przylgnął do mnie na długo, nawet po czasie skrócony do samej „Muchy” wiadomo było, o co chodzi. W sumie jednak ogólny poziom sekcji nie ucierpiał zbytnio i zostałem zaakceptowany, oczywiście nie bez „wpisowego litra”. Ćwiczenia były różne, od pełnej akcji gaśniczej, z użyciem ciężkich drabin, motopompy, rozwijaniem i zwijaniem linii węży, ewakuowaniem ludzi, pomocą poszkodowanym i samoratownictwem, do powtarzania do znudzenia prostej czynności, jak użycie prostej drabinki, aż do uzyskania absolutnej perfekcji, czy zwykłej wojskowej musztry. Oczywiście były ćwiczenia ulubione, jak wchodzenie z drabinką hakową na czwarte piętro na czas, czy zjazd skokami na linie. Zwykle jednak była to ciężka praca w oczekiwaniu na alarm.

Krysia często obserwowała nasze ćwiczenia i gdy stwierdzała, że męczą mnie zbytnio, przysyłała meldunek do sierżanta:

– Strażak Węgrzyn do majora kwatermistrza! – i mieliśmy godzinę na pogaduszki.

Często jednak major wzywał mnie rzeczywiście, wybrał mnie bowiem jako dobrego kandydata na łącznika i jeździłem z pismami do Komendy Głównej na Placu Trzech Krzyży, co mi bardzo odpowiadało. Bywały też jednak oficjalne rozrywki, jak pokazy sprawności dla ludności, a zwłaszcza Dzień św. Floriana, patrona strażaków, kiedy między innymi grało się w „piłkę strażacką” przeciw drużynie z innego oddziału. Wielką piłkę pchało się prądem wody z prądownic, motopompy ryczały na pełny gaz, a wodą ociekali obficie i zawodnicy i większość kibiców. Zabawa była na sto dwa.

Pierwsza moja poważna akcja w Szkole polegała na eskortowaniu transportu węgla dla Szkoły na zimę. Delegowano do tego mnie i Tadeusza Żebrowskiego. Od tego zaczęła się nasza przyjaźń. Pojechaliśmy daleko na Pragę. W punkcie zsypu węgla stały już cztery wyladowane, ciężkie, czterotonowe konne wozy z żelaznej blachy, których boczne kłapy zabezpieczające przed wysypywaniem się nadmiaru węgla stały wysoko ponad boki. Tadeusz siadł na koźle pierwszego wozu, ja na ostatnim, i

jedziemy powoli, patrząc na wysiłek wielkich koni, ledwo ciągnących ogromny ciężar. Po jakimś czasie konwój stanął. Podszedł do mnie Tadeusz z woźnicami -

– No co panowie, skręcimy? Bo jak nie, to dalej nie jedziemy.

Popatrzyłem na Tadeusza – Skręcamy.

Po chwili wozy wjechały w jakiś pasaż i stanęły na szerokim podwórzu. Rozległ się łomot zrzucanego węgla. Trwało to długo, aż poczęliśmy się obawiać.

– Panowie! Zsypaliście już chyba połowę! My też chcemy przeżyć wojnę!

– Spokojna głowa! W Straży nie mają wagi, zresztą nigdy nie dostali więcej.

Pojechaliśmy dalej. Klapy wozów dziwnie pochylone były do środka, konie też wyraźnie źzej szły. Przed budynkiem Szkoły mój woźnica oświadczył

– Eskorta była na sto dwa. Dla panów po dwie stowy.

To była kupa forsy. Zameldowaliśmy się u majora kwatermistrza z duszą na ramieniu.

– Skręcaliście?

– Tak jest.

– No, gdy braknie, to i tak muszą dać więcej, warszawiacy trochę mniej zmarzną, a wy dostaliście za ryzyko.

Ot, okupacyjna moralność. Część forsy wspólnie uczciwie przepiliśmy z chłopcami.

Akcje bojowe, to znaczy do pożarów, można było podzielić na trzy rodzaje: cywilne, gdy płonęło mienie ludności warszawskiej, wymagały pełnego zaangażowania wszelkich sił i każdego ryzyka, niemieckie, gdy zagrożone było mienie wojskowe, rządowe, cywilnych Niemców, lub zakłady pracujące dla okupanta. Należało gasić tak, by spaliło się jak najwięcej, w miarę możliwości przenosić, rozprzestrzeniać ogień, kraść co tylko się da, prócz pieniędzy, zwłaszcza wszelkie papiery, dokumenty, legitymacje, powodować jak największe zniszczenia prądem wody. Woda często powoduje znacznie większe zniszczenia, niż ogień. Jeśli to możliwe należało udostępnić szabrowanie niemieckiego czy państwowego mienia cywilnej ludności. Zdobycze podlegały przeglądowi dowództwa. Były to już działania w ramach Ruchu Oporu Skala. Należało jednak zachować pozory planowej akcji, unikać niepotrzebnego ryzyka. Było to bardzo trudne i niebezpieczne, okazje też zdarzały się rzadko.

Wreszcie akcje w getcie. Na terenie zamieszkałym pracowano tak jak w akcji cywilnej zalecano jednak unikać bliższego kontaktu z ludźmi. Za pomoc Żydom groziła kara śmierci. Jedną całą sekcję I Miejskiego Oddziału rozstrzelano na miejscu w getcie za próbę wywiezienia kogoś pod beczkowitzem. W terenach pustych, już po wysiedleniu ludzi pożary wybuchały często, wzniecane też przez samych wypędzanych Żydów. Tam postępować można było zgodnie z własnym sumieniem. Dobra porzuconego było sporo, brać można było tylko drobne rzeczy, możliwe do ukrycia w pogotowiu. Byli specjaliści szurający nogami w śmieciach, znajdujący złoto i biżuterię w skarpetkach, inni, jak Michał Naimski brzydzili się dotknięcia czegokolwiek, jak i tymi, co cokolwiek brali. Ja miałem w rękach srebra stołowe, dzieła sztuki, antyczne małe zegary, skusiłem się jednak tylko raz, biorąc ładne, stare skrzypce, na których później uczyłem się grać i które w 1944-tym spłonęły w Jaśle.

Pierwsza moja akcja bojowa miała przebieg równie krótki, jak i tragiczny. Palily się setki ton celulozy w piwnicach Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych na ul Sanguszkki (na Sanguszkach, jak mawiali warszawiacy). Poziom czadu był porażający, a zadymienie uniemożliwiało orientację w labiryncie piwnicznych przejść. Maski gazowe były całkowicie nieskuteczne. Nie użyto aparatów tlenowych. Sekcja, z porucznikiem Boruszakiem na czele wbiegła do środka i prawie natychmiast poczęła się wycofywać ratując się wzajemnie, gdyż po kolei wszyscy ulegali zatruciu. Ja wybiegłem pierwszy (byłem ostatni w szeregu), ciągnąc slaniającego się już Tadeusza. Akcję ratunkową dalej prowadził drugi Oddział Miejski. Do szpitala nie pojechaliśmy tylko my dwaj z Tadeuszem. Nie odnaleziono tylko porucznika Boruszaka, którego zwłoki wydobyto dopiero po zalaniu całych piwnic wodą. Tylko tak można było ten pożar ugasić.

Obie sekcje Oddziału bardzo przeżyły śmierć porucznika. Ja go jeszcze prawie nie znałem. Na jego miejsce przyjęto nie znanego jeszcze nikomu porucznika Skurę (przez u). – Już nie będzie ćwiczeń i nauki taktyki działań partyzanckich – poskarżył się po cichu kapral Domański. To było jak podchorążówka. – Nie ufano Skurze i nie było już takiej bliskiej atmosfery, jak poprzednio.

Następna poważna bojowa akcja, to było gaszenie podpalonych (Skala?) baraków budowanego podobno obozu, w pobliżu Dworca Gdańskiego. Tu mogłem do woli demonstrować moją nieporadność w obsłudze trójnika. Zostałem na stałe ustawiony na stanowisku „wodnym” tj. odszukanie źródła wody, podłączenie ssaków do motopompy i obsługa trójnika (były jeszcze stanowiska węzowe i ogniowe). Baraki zapalały się jeden po drugim i spaliły się niemal doszczętnie „mimo” naszej akcji. Dostaliśmy za to po litrze wódki. Zawsze jako nagrodę dawano nam wyłącznie wódkę. Później długo była cisza, jakies drobne, wymodlone przypalenie garnka, jednak do banalnych wypadków nie wzywano Oddziału Specjalnego. Dogaszaliśmy duży pożar gospodarstwa rolnego w Wólce Węglowej, tam jednak chodziło raczej o dochodzenie ew. podpalenia, zlecone przez towarzystwo ubezpieczeniowe. Kilka niewielkich pożarów mieszkań na Żoliborzu ugasiłmy bez użycia motopomp i węży, wystarczyły gaśnice. Gaszenie wodą z węży zawsze powodowało duże straty. Idealem było gaszenie bez „dużej” wody.

W wolnym czasie zwiedzaliśmy z Tadeuszem miasto. On był świetnym przewodnikiem. Zdarzyło nam się nam się raz znaleźć w środku łapanki. Ludzie miotali się nie wiedząc gdzie uciekać. Tadeusz bez wahania złapał pod ramię jakąś dziewczynę i przycisnął do siebie – Bierz drugą! – zawołał. Moją złapałem niemal siłą – była spanikowana, cała się trzęsła. – Przytul się do mnie – wyprowadzę cię. Nie wyrwij się! – Myślała że jestem Niemcem, czy Ukraińcem. – Udawaj, że się kochamy! – Powoli zaczęła się uspokajać. Podbiegł Niemiec – Meine Frau – mówię spokojnie, pokazuję z daleka legitymację. – Gehen się weiter. – odszedł. Dziewczyna zaczęła rzeczywiście udawać, że się kochamy, może nawet zbyt serio. Za rogiem, już poza niebezpieczeństwem przedstawiłem się i pożegnałem ją. – O nie! Tak się nie pożegnamy! – i pocałowała mnie mocno w usta. A ładna była bestia. Więcej jej nie widziałem.

Razem z Tadeuszem wynajęliśmy ładny pokój w pobliżu, na Gdańskiej. Nie musieliśmy już stale nocować w sypialni sekcji, wolni od hałasu i obecności pozostałych. Dużo czytałem. Studiowałem religie świata, w wyniku czego przestałem wierzyć we wszystkie.

Pewnej niedzieli poszedłem do kościoła, zobaczyć ludzi. Nagle wśród wychodzących ujrzałem Irkę Aleksandrowicz, koleżankę z gimnazjum, Żydówkę. Ucieszyłem się. – Cześć Irka, – zawołałem, – gdzie mieszkasz? – Zobaczyłem łęk w jej oczach. – Tu, na Żoliborzu – i znikła nagle. Zrozumiałem. Poznała

mnie, ale nie rozpoznała munduru. Jeszcze to pytanie „Gdzie mieszkasz?” Zrobiło mi się przykro. Jak ona się uchowała z jej typowo semicką twarzą i nosem?

W Warszawie znalazłem jeszcze innych znajomych, prawie krewnych. Wuj Sielecki, przed wojną dyrektor banku w Gdyni, wysiedlony, mieszkał w dużym mieszkaniu na Królewskiej i zajmował się artystycznym malowaniem porcelany, a ciotka tkala poszukiwane wełniane samodziały. Prowadzili dość wystawne życie i zapraszali często. Mogłem, gdy chciałem, zawsze wpaść na obiad, czy kolację. Korzystałem z tego dość często, jako że karmiono nas w Szkole nad wyraz skromnie. Na śniadanie i kolację kawa zbożowa i chleb z marmoladą, na obiad zawieszista, pożywna zupa, czasem drugie danie z odrobiną mięsa. Przesyłanie pocztą mięsnych potraw było zabronione, mama znalazła jednak sposób: pęto kielbasy zapiekała w pieczonym w domu chlebie. Jak to pachniało! Za kromkę takiego „faszerowanego” chleba dostawałem od chłopaków pół bochenka naszego komiśniaka, w którym więcej było trocin, niż mąki.

Drugą niemiecką akcją w jakiej brałem udział było gaszenie pożaru drewnianego mostu, blisko Dworca Gdańskiego. Komendę nad akcją przejęło wojsko, co wywołało kompletny bałagan. Wezwano do akcji wszystkie oddziały miejskie i wszyscy sobie ochoczo przeszkadzali. Kazano rąbać otwory w jezdni co było niepotrzebną, potworną harówką. Przez dziury w moście buchaly płomienie, a my laliśmy wodę do Wisły, zachwyceni efektem. Nikt nie rozumiał niemieckich rozkazów. Późno ustawiono motopompy na barce i zaczęto gaszenie od dołu. Zniszczenia były tak duże, że most już nigdy nie nadawał się do użytku. Wróciliśmy zmordowani nieludzko, upstrzeni kroplami gorącej smoly spod toporów i syci chwały.

Urlop dostałem dwa razy, na Boże Narodzenie i na Wielkanoc '43. Miałem przyjemność i zaszczyt zaśpiewania solo w chórze partii ewangelisty w Męce Pańskiej w kościele w Ciężkowicach. Mój bas brzmiał podobno wyjątkowo dobrze. Jak miło było po rozłące uściskać najbliższych!

W miarę zbliżania się frontu zaczęły się alarmy i naloty sowieckich samolotów. Nie były one zbyt częste ani groźne, liczne alarmy powodowały jednak sporo nerwowości. Oddział Specjalny brał udział w akcjach ratowniczych zawsze, mnie jednak w udziale wypadło brać udział w dwóch. Naprzód w ratowaniu mieszkańców zburzonej częściowo kamienicy na Książęcej, gdzie szczęśliwie nie było ognia, tylko mordercza praca poszukiwawcza w rumowisku belek i gruzu, tylko przy świetle samochodu. Rannych było kilkanaście osób, nie było jednak zabitych. Praca była i bardzo ciężka i niebezpieczna, bo co raz coś się z góry waliło. Wróciliśmy do koszar niemal bez sił, zastąpieni przez zmianę. Druga akcja dotyczyła zbombardowanych magazynów żywnościowych Meinla. Tam ofiar nie było, jednak szkody były ogromne, zwłaszcza magazyny mąki, kasz i makaronów. Niestety czuła opieka policji niemieckiej i polskiej uniemożliwiła jakieś próby zwiększenia zniszczeń. Widzieliśmy jednak zmykające sylwetki cywilów z workami na plecach. Dobre i to. Praca w towarzystwie policjanta z bronią gotową do strzału, śledzącego każdy ruch była strasznie deprymująca. Dostaliśmy po litrze angielskiej gorzkiej i ze złości wypiliśmy większość już w drodze powrotnej.

Chyba postać i twarz osiemnastolatka grającego osobę 4 lata starszą działała na kobiety jak afrodyzjak. Gdziekolwiek pojawiałem się w towarzystwie, tam zawsze pojawiała się bóstwo strzelające oczami, gotowe się zakochać, i mama widząca we mnie idealnego kandydata na męża. Wiedziałem, że z tego będą kłopoty. Dzięki Krysi Pawłowskiej poznałem rodzinę majora Korzewnikjanca i zostałem

razem z Tadeuszem zaproszony, z okazji jakiegoś święta rodzinnego, na niedzielny obiad do Legionowa. Tam posadzono mnie obok uroczej, wysokiej brunetki, imieniem Duda. Po godzinie znałem już wszystkie rodzinne zawilości. Do tańca po obiedzie nie dało się jakoś zaprosić nikogo innego, tylko Dudę, co wcale nie było niemiłe, zaproszono mnie też na następną wizytę za kilka dni. Po tygodniu całowaliśmy się już otwarcie, a po następnym zaproszono mnie na uroczystą kolację zaręczynową. Jakoś wcale do tego nie była potrzebna moja inicjatywa, a wycofywać się było strasznie trudno. Poczulem się w pułapce, gdy wszyscy gratulowali mi szczęścia.

W czasie tych zaręczyn zastrzegłem, że o ślubie będzie można myśleć dopiero po wojnie i nikt mnie nie zmusi, bym kogoś naraził na bycie wdową, czy sierotą. Zakrzyczano mnie, było jednak tyle wódki, że nikt rozsądnie nie myślał. Fłaszka starki dopełniła miary. Tylko ja nie wypilem. Położono nas do łóżka, pieściliśmy się gorąco. Jaka ona była piękna! A mnie w głowie huczało tylko jedno: NIE WOLNO CI JEJ SKRZYWDZIĆ! Przecież prawda kiedyś wyjdzie na jaw. Duda powoli, zawiedziona, usnęła, ja udawałem śpiącego.

Wszystko przestało być ważne, gdy 19 kwietnia rozpoczęła się likwidacja getta i powstanie żydowskie. Zaczął się szereg koszmarnych akcji w getcie. Niemcy początkowo nie mieli zamiaru palić całego getta. Nam nakazano ochronę niemieckich fabryk i magazynów. Przerzucano nas z jednego końca getta w drugie, stale w asyście uzbrojonych żołnierzy. Słabo znałem Warszawę, nie umiem wskazać dokładnie miejsc naszych akcji, poza ul Bonifraterską, gdzie byliśmy najdłużej. Początkowo Niemcy wycofywali się z getta na noc i my wracaliśmy na zmianę, później dostarczano nam wyżywienie na miejsce i nie zezwalano na przerwy w pracy po kilka dni. Koszmar ginącego getta opisywało wiele lepszych, niż moje piór, zresztą nie lubię do tego wracać. Są jednak obrazy, których nie sposób się pozbyć, może tak ważne tylko dla mnie. Błada jak płótno twarz kierowcy Kierzkowskiego, prowadzącego niemal na ślepo pogotowie pod pistoletem SSmana, przez ulice na których nie mógł omijać leżących zwłok, a wóz podskakiwał. I drugie, to obraz żydowskich policjantów w czapkach z żółtym otokiem, wyciągających brutalnie z piwnicznych kryjówek gromady bezbronnych, jakby obojętnych, pokornych ludzi. Bili okrutnie, przecież niezmuszani, swoich! No i zamieszkałe domy podpalane od parteru, z ludźmi uciekających pod ogniem aż po dach, ku śmierci. Przeżyłem ciężko i nadal przeżywam te wspomnienia.

Po wyjściu z getta odwiedziłem Sieleckich. Było tam też kilku poważnych mężczyzn, rozmawiano o przygotowaniach do powstania w Warszawie i w Polsce. Rzuciłem się:

– Tego nie wolno zrobić, z tego może być tylko nieszczęście!

Popatrzyli na mnie z politowaniem.

– Jeśli się pan boi, nikt pana nie zmusi.

– Nie mam zamiaru umierać tylko dla honoru, przecież nikt nam nie pomoże! – przekonywałem, i do tej pory nie zmieniłem zdania, że decyzja rozpoczęcia powstania była zbrodnią przeciw narodowi, popełnioną nieumyślnie w wyniku błędnie ocenionych możliwości, sił i sytuacji militarnej i politycznej, ukazała jedynie bohaterstwo i niezłomną wolę walki żołnierzy Powstania.

W Szkole dyskutowano czy uczestnicy akcji w getcie są bezpieczni jako świadkowie zbrodni w Getcie. Podjąłem decyzję. Mam dość powstania. Wyjeżdżam z Warszawy. Major Korzewnikjanc wysłuchał mnie uważnie.

– Szanuję twoją decyzję, jedź w twoje strony. Zalatwię ci delegację z Komendy Głównej, dam listy do inspektora i dowódcy straży w Jasle. Dla ułatwienia naszej sobie paski kaprała. Oni cię tam ustawią.

Uciekłem? Na pewno przed Dudą. Poza tym... niech oceni każdy jak chce. Na delegację i listy trzeba było jeszcze poczekać. Ostatnią akcją, w jakiej brałem udział, było wydobycie ze studzienki kanału kanału gdzieś na Żoliborzu, niedaleko Wisły, zwłok mężczyzny. Jak on przebył tak daleką drogę kanałami z getta? To była ohyda. Trup był półnagi, siny i wzdęty, okropnie cuchnął. Trzeba go było w kanale przewiązać i wyciągnąć. Dopiero po losowaniu podjął się tego kapral Domański. Siedzieliśmy potem obok zwłok, nie mogąc się doczekać właściwych organów do zakończenia sprawy. Chyba tylko ja nie rzygałem. Nawet zacząłem jeść przygotowaną kanapkę, za co omal nie dostałem po ryju. To był ostatni zapach powstania.

Jasło

Wybór Jasła jako dalszego miejsca pracy nie był przypadkowy. Do Gorlic wracać nie mogłem, wobec zakazu z 41 r. Jasło było najbliższej Ciężkowic, gdzie byli rodzice. Tam też przebywali, jak się dowiedziałem bliscy znajomi: pani Marczakowa i Bronia Krawczykówna, na ich pomoc też liczyłem.

Jechałem też na pewniaka z listami do dowódców jasielskiej straży. Tymczasem od początku zaczęły się kłopoty. Obaj oficerowie – powiatowy inspektor pożarnictwa i komendant Miejskiego Oddziału Straży - byli już aresztowani i wywiezieni nie wiadomo dokąd. Moja delegacja tak w Kreishauptamcie, jak i wśród samych strażaków, z pełniącym obowiązki komendanta sierżantem Kasprzakiem została przyjęta z dużą nieufnością. Do tego naszyte paski kaprała, z którymi „miał mnie ustawić”, zgodnie z instrukcją w listach, komendant, wprowadziły dalszy powód do nieufności, bo przecież oficjalnej nominacji nie miałem. Oba pisma od majora Korzewnikjanc zniszczyłem, jak polecił, bez czytania. Sierżant Krawczyk był po aresztowaniu dowódców przerażony i niezdolny do jakiegokolwiek decyzji. Powiedziałem mu, że funkcji żadnych nie chcę, jemu pomogę w sprawach urzędowych, jak będę mógł, a służbę będę pełnił jako szeregowy strażak. Zgodził się chętnie, gdyż, jak się okazało, kłopotów z władzami nie brakowało.

Pani Olga Marczakowa była już uprzedzona o moim przyjeździe i od razu zaproponowała przyjęcie do mieszkania z wyżywieniem za połowę wynagrodzenia, jakie będę otrzymywał. Było to ładne, trzypokojowe mieszkanie w niedużej willi. Mieszkała tam z babcią, ponad dziewięćdziesięcioletnią matką dyrektora Henryka Marczaka, który już nie żył. Była to bardzo miła, w pełni władz umysłowych staruszka, matka sześciorga dzieci, które wszystkie przeżyła. Była z nimi też Czesia, wierna służąca, jeszcze z Glinika.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem po przyjeździe, był długi, szczerzy list do Dudy, w którym wyjawilem sprawę mego prawdziwego wieku i przeprosilem za rozczarowanie, jakiego byłem sprawcą,

zapewniając ją jednak o szczerości mojego uczucia. Odpowiedzi oczywiście nie było. Później dowiedziałem się, że wyszła za mąż za oficera białej armii, generała Własowa, i emigrowali razem na Zachód

Wszyscy z napięciem czekali na mający w tych dniach nastąpić powrót z niewoli w oflagu Olka, który po śmierci ojca napisał podanie o zwolnienie, celem opieki nad matką i babką.

Zabudowania i urządzenia jasielskiej straży to było kolejne rozczarowanie. Wielka drewniana szopa mieściła strażackie autopogotowie. Połączona była z dwoma barakami, służącymi za sypialnie dla dwu sekcji, wyposażone w proste prycze z siennikami. Brak było łazienki i ciepłej wody, ustępy były na podwórzu, też bez wody. Posiłki przynoszono z kuchni w domu mieszkalnym po drugiej stronie podwórza, raz dziennie na obiad. Kolacje każdy przynosił z domu, na miejscu była tylko herbata. Rano była zmiana sekcji, więc nowi przybywali po śniadaniu, a odchodzący szli do domu. Do zabudowań straży należała też stojąca obok stajnia z końmi i wozami na potrzeby magistratu. Niewysoka wieża obserwacyjna z oknami do ćwiczeń i obszerna dyżurka z telefonem uzupełniała obraz zabytkowej remizy Ochotniczej Konnej Straży Pożarnej jeszcze sprzed pierwszej wojny światowej. Remiza stała w centrum miasta. Po drugiej stronie ulicy był plac targowy, obok duże kino, a za nim budynek szkoły, w którym Niemcy otworzyli „Feldgasschutzschule” – Polową Szkołę Obrony Przeciwgazowej. Dodajmy do tego, że połowa personelu Oddziału nie miała umundurowania i chodziła we własnych butach.

Życie Oddziału toczyło się w dyżurce. Tam też urzędował sierżant. Większość strażaków stanowili prości chłopcy z okolicznych wsi, trzeba przyznać jednak, że pełnili służbę, gdy trzeba, ofiarnie i byli niezwykle solidarni. Mnie do serca przypadł młody, sprytny Stefek Głęb, który pierwszy wziął mnie w obronę, gdy z początku nikt się do mnie nie chciał odezwać. Drugim był potężny Myśliwiec, dobroduszny i zawsze gotów do pomocy. Dla reszty byłem „nasłany przez władze”, nie wiadomo kto. Trudno im się dziwić. Musiałem ich jakoś przekonać do siebie. Skarżyli się przede wszystkim na brak mundurów, podobno obiecanych od dawna. Postanowiłem iść „na chłama”. W magistracie dowiedziałem się, że materiał na mundury wraz ze zleceniem na szycie leży od dawna u krawca Ukraińca, a ten najwyraźniej czeka aż Niemcy odejdą i nie robi nic. Poszliśmy razem z sierżantem. Od wejścia rozwrzeszczałem się pół po polsku, pół po niemiecku (inaczej nie umiałem), że sabotaż, że Straż to sektor policji, że pod sąd – i tak dalej, że mundury muszą być gotowe najdalej za tydzień. Widocznie moja warszawska, nietypowa czapka zrobiła wrażenie, bo krawiec blady i drżący przysiągł, że już od jutra zabiorą się do pracy, że ma za dużo zamówień od wojska i tak dalej. Skutkiem tej awantury dostaliśmy trzy mundury po miesiącu, ale moja pozycja w Oddziale została uratowana. Jako kumpel musiałem jednak zdać egzamin. Związano mi ręce z tyłu, postawiono na biurku otwartą ćwiartkę wódki. Należało wziąć szyjkę butelki w zęby, unieść wysoko, pustą butelkę postawić na biurku i brzoźową miotłą zamieść całe podwórze. Udało się. Piło się w ogóle dużo i często.

Olek przyjechał gorąco witany przez wszystkich. Wcale po nim nie było znać trudów obozu. Trafiał do niego zresztą głupio. O wybuchu wojny i mobilizacji dowiedział się w Anglii i zamiast na swój statek, wsiadł na samolot, by wysiąść w Warszawie przed samym oblężeniem i dostać się do niewoli. W Jaśle czekało już na niego umówione stanowisko dyrektora octowni. Dwa miesiące później zasnęła w nocy cicho babcia Marczakowa, a ja dostałem do snu jej wygodne łóżko. Właściciel naszej willi mieszkający w ładnej, jasnej suterenie okazał się nauczycielem gry na skrzypcach, poprosiłem go więc o lekcje na moich

skrzypcach wyniesionych z getta. Okazało się jednak, że złamana ongiś ręka zbyt boli przy próbach palcówki i z żalem zrezygnowałem.

Służba w jasielskim Oddziale po zamknięciu dowódców żywo przypominała „cichy opór”, nie wiem czy świadomy. Robiło się tylko to, co było absolutnie konieczne. Żadnych ćwiczeń, ani prób, czy pokazów, nawet nakaz wykopania schronu przeciwlotniczego został zignorowany. Konserwacja sprzętu, nawet osobistego uzbrojenia pozostawiała wiele do życzenia. Pytałem o to sierżantów. Kasprzyk mruknął – Ile oni nam, tyle my im – Nie wiem, czy chodziło o politykę. Zawsze był czynny dyżurny telefonista. Zawsze, gdy był alarm, sekcja była gotowa do wyjazdu. Zawsze na każdym seansie w kinie był obecny strażak. W wolnym czasie grało się w karty i prowadziło dyskusje o wszystkim i o niczym.

Pierwszym i dość długo jedynym zadaniem bojowym było dogaszenie dużego, wiejskiego drewnianego domu, który sponął, zanim zdążyliśmy dojechać. Jedyne, co dobrego mogliśmy zrobić, to zburzenie prądem wody komina, co było konieczne, by pogorzelec otrzymał pełne odszkodowanie z ubezpieczenia. Poza tym kilka drobnych zajęć, jak małe ognie w mieszkaniach, płonące sadze w kominach, zdejmowanie kota z wysokiej gruszy, wyciąganie cielaka ze studni, czy likwidowanie wielkiego gniazda os na strychu, po którym prawie wszyscy chodzili z popuchniętymi pyskami. Nudno nie było, tym bardziej, że chłopcy coraz otwarciej komentowali niemieckie klęski na wschodzie, a zwłaszcza działalność tajnych grup piętnujących „szwabskich sługusów”. Nie wystarczały napisy „Tylko świnie siedzą w kinie”. Często plecy polskich kobiet wychodzących z seansów „nur fur Deutsche” wysmarowane były niezmywalną farbą, a nawet pocięte żyłkami. Nie było litości dla dziewcząt zadających się z żołnierzami. Sam słyszałem relację z „operacji” golenia głowy takiej dziwce, przy czym, dla zaostrenia kary ogolono nie tylko głowę, ale i wszystko inne. Co raz częściej na drogach widać było ostrzeżenia : Achtung Bandengefahr!, co wyraźnie świadczyło o aktywności partyzantki.

Olek odkrył źródło tajnych gazetek z różnych kierunków politycznych, gospodarz słuchał w piwnicy radia. Na frontach wiele się działo, było więc o czym rozmawiać. Szło ku upadkowi faszystów, z drugiej strony nadchodziła następna ogromna moc, po której nie wiadomo było czego się spodziewać. Dyskusjom nie było końca.

Jesienią odwiedziłem rodziców. Byli pełni nadziei, choć przeszli niejedno. Mama przeszła ciężkie zapalenie jajników, ofiarnie leczona przez Staszka Podhoreckiego, z kolei on sam uległ infekcji tyfusu plamistego w wyniku walki z epidemią szerzącą się w okolicy i mama z Hanią pielęgnowały go dzień i noc. On potwornie bał się hospitalizacji wobec wielkiej śmiertelności i braku leków. Szczęśliwie wszystko dobrze się skończyło, tylko węzły przyjaźni mocniej się zacieśniły. Hania miała narzeczonego, milego, wysokiego weterynarza, nie sądzę jednak, by to zobowiązanie traktowała zbyt poważnie. Tato z powodzeniem produkował perfumy i wodę kolońską na bazie samogonu. Olejki eteryczne sprowadzał oficjalnie z Niemiec i nie narzekał na brak zbytu. Dużą stratą była śmierć Smoka. Pies, z braku miejsca krótko uwiązany na łańcuchu, mocno zdziczał, uznano, że stał się agresywny, w końcu nagle stracił władzę w tylnych nogach i trzeba go było uśpić. Byłem przy tym i ryczałem jak wszyscy. Wreszcie niespodzianką była wizyta Szwejka, który nas odnalazł i zabrał harmonię. Został ranny na froncie i skierowano go do pracy w jakimś obozie w Prusach Wschodnich. A już myślałem, że harmonia jest moja!

W listopadzie 43 przeżyłem przygodę, która mogła się źle skończyć. Miałem dyżur w kinie w czasie wieczornego seansu nur für Deutsche filmu „Das andere ich” z Marią Rack, zresztą dobrego filmu. Stałem z tyłu sali, przy wyjściu zapasowym. Zaraz po „Kronice Tygodnia” nagle rozległ się huk, błysk i krzyki

– Gaz! Gaz!

Na sali rozchodził się gęsty, jasny obłok gazu. Wypadłem z sali, wyskoczyłem przez otwarte okno, przebiegłem w poprzek ulicę, wpadłem do dyżurki i wykręciłem numer Schutzpolizei.

– Ins Kino explodierte eine Gassbombe! Drugi taki meldunek przekazałem do Pogotowia. Potem powiedziałem chłopcom, żeby wzięli nosze.

– Może będziecie potrzebni! – i dopiero otrząsnąłem się z emocji.

Zrobił się straszny ruch. Wojsko, policja, karetki, nawet padły jakieś strzały! Chłopcy wrócili z noszami, nie byli potrzebni. Obserwowaliśmy wszystko z bliska, bo kino było wprost po drugiej stronie ulicy.

– No, to teraz będzie! – powiedział Kasprzak – spisałeś się – powiedział do mnie, – obyś teraz tylko nie oberwał.

Wiadomości dochodziły sprzeczne. W końcu okazało się, że zginął żołnierz, pod którego krzesłem wybuchła ta bomba, kilkanaście osób odwieziono do szpitala z objawami zatrucia chloropikryną. Na razie nie wiedzieliśmy nic, czekaliśmy w napięciu. Nad ranem podjechał samochód niemieckiej policji. Gość jednak był w cywilnym ubraniu.

– Gestapo – ktoś szepnął.

- Kto miał służbę dziś w kinie? Spytał po polsku.

– Ja – wstałem.

– Jedzie pan z nami.

Budynek gestapo to była duża willa z wysoko ogrodzonym obejściem. Wprowadzono mnie do szerokiego korytarza z długim szeregiem krzeseł, na których zobaczyłem siedzący cały personel kina z kierowniczką, kilka nieznanymi osób i kilku żołnierzy. Kazano siedzieć i czekać. Żadnych rozmów! Kobiety były blade, ręce im drżały. Przed szeregiem siedzących stało kilku policjantów, obserwujących zatrzymanych, krzykiem pilnując, by nikt się nie ruszał, ani odzywał. Dopiero po jakiejś godzinie takiej obserwacji brutalnie podrywano kolejne osoby i popychano na przesłuchanie, z wrzaskiem: banditen, diwersanten, Alle erschossen! Nikt jednak nie wracał tą samą drogą. Gdy na mnie przyszła pora, wepchnięty w drzwi już czułem, jak na potylicy rośnie mi guz. Nie wiem, czym i za co dostałem z tyłu w leb. Chyba dla rozjaśnienia umysłu. Niemiec, łysawy, w średnim wieku, w cywilu, siedzący za biurkiem wskazał na krzesło.

– Czy chce pan zeznawać po polsku, czy po niemiecku?

– Spróbuję po niemiecku.

– Kto ze strażaków dyżurował w kinie w czasie tego zamachu?

– Ja.

– Kto zameldował policji o wybuchu?

– Ja.

– Gdzie pan stał, gdy to się stało?

– Przy drzwiach wejściowych – już mówiłem niepewnie.

– Dlaczego te drzwi były zamknięte i ludzie nie mogli nimi uciekać?

– To nieprawda, ja drzwi zostawiłem otwarte! Widzowie w panice mogli się tłoczyć i mieć trudności w wyjściu. – to już mówiłem po polsku.

– Co to było? – zapytał uprzejmie.

– Eine Dumheit – głupota – powiedziałem niepewnie.

On jednak zrozumiał inaczej. – Nie żadne głupstwo!, to zamach na niemieckie wojsko, to zbrodnia. Za to ktoś zawiśnie! To sabotaż!

– Albo wypadek – zdobyłem się na odwagę.

– Jaki wypadek? – wrzasnął.

– Obok kina jest Feldgasschutzschule – powiedziałem. – Tam też mają gaz. Kto w Jaśle mógłby skonstruować bombę gazową?

– Ucichł, milczał chwilę. Wziął jakiś papier, coś pisał.

– Jest pan wolny, ma pan przepustkę. Przez tydzień proszę nie opuszczać miasta.

Pożegnał mnie prawie uprzejmie. Była już godzina po zmianie służby, gdy wróciłem do remizy, tymczasem nikt z mojej zmiany nie poszedł do domu. Wszyscy na mnie czekali! Pół litra już czekało na powitanie. Dopiero teraz przestałem się bać. W końcu nikogo za tę bombę nie zamknięto. Faktycznie jakiś kursant z tej szkoły przeciwgazowej wziął ze sobą do kina ćwiczebny granat gazowy i przypadkiem go zdetonował pod swoim krzesłem. Stąd i skutki nie były zbyt tragiczne. O tym jednak dowiedziałem się dużo później i „bomba w kinie” podziałała jako prawdziwy akt dywersji.

W tym czasie do remizy zachodził często w nocy jeden funkcjonariusz Sondendienst, młody chłopak, dawał dyżurnemu swój karabin.

– Schowaj gdzieś to gówno, ja idę spać – siedł do sypialni, kładł się na pryczy, przykrywał się z głową i kazał się budzić za trzy godziny.

Ucieszyliśmy się obaj, gdy mi go przedstawiono. To był mój kolega z Glinika, stary znajomy Lolek Holdman. Pokrótce opowiedział mi swoją historię. Ojciec, zagorzały faszysta zapisał go niepełnoletniego jako Reichdeutscha, wbrew jego woli i później nie mógł uniknąć mobilizacji, a w nagrodę dla ojca wzięto go do osławionego Sonderdienst. Wściekły, służył jak mógł najgorzej, był już dwukrotnie karany twierdzą, starał się tylko uniknąć najwyższej kary, choć i na nią byłby gotowy, gdyby go zmuszano do zbrodni.

– Tu mógłbym wiele dobrego zrobić, mam swoje chody, ale nie znam poważnych ludzi, którym mógłbym zaufać, a ci tu, to prymitywy, choć dobrzy chłopcy – przekonywał.

Powiedziałem mu o Marczakach i pannie Broni Krawczyk, która z połową inteligencji jest w najlepszej komitywie. Poprosił mnie o kontakt z panną Bronią. Zależało mu właśnie na kimś mało znanym, nikim ważnym, ale godnym zaufania i mającym dostęp do wielu środowisk aktywnych społecznie. Panna Bronia licząca już pod pięćdziesiątkę mogła się już nie bać oskarżeń o kontakty z Niemcami. Wysłuchała mojej relacji o Lolku. Znała go sprzed wojny i nie wątpiła w jego najlepsze intencje. Przyjęła go serdecznie, a o ich współpracy, ostrzeżeniach przed łapankami, aresztowaniami, załatwianiu wielu trudnych spraw w nienieckich urzędach, przepustkach na kolej, po wojnie oboje z Bronią składaliśmy zeznania na jego procesie o służbę w organizacji zbrodniczej Sonderdienst. Po uniewinnieniu dziękował mi listownie, dodając, że „już myślałem, że order dostanę”.

PO WOJNIE

Opisałem do tej pory „rajskie” dzieciństwo w Gliniku i z trudem zmagam się z czasem wojny. Moje życie było pełne zmian i przeżyć. Pracowałem i w drukarni i w lesie jako drwal i jako robotnik w fabryce przetworów rybnych w tarnowskim getcie, a po jego rzezi już do końca wojny byłem strażakiem w Oddziale Doświadczalnym Centralnej Szkole Pożarniczej w Warszawie. Po przetrwaniu dwu tygodni działania w warszawskim getcie w czasie żydowskiego powstania (Niemcy nas przez ten czas nie wypuszczali z getta), długo nie mogłem dojść do siebie. Gdy zaczęły się przygotowania do powstania w Warszawie, stwierdziłem, że mam dość jednego powstania i przenieśliem się do Straży w Jaśle. Było to przejście z deszczu pod rynnę, gdyż po roku Niemcy zburzyli i spalili w 85 procentach to miasto, a ja wróciłem do Gorlic, gdzie, nadal jako strażak, doczekałem końca wojny. W czasie wojny zdołałem też zdać maturę.

(...)

Już w maju zdawałem na medycynę w Krakowie. Na 60 wolnych miejsc zgłosiło się prawie 650 chętnych. Egzamin konkursowy był wyjątkowo trudny. Gdzie mnie do tego z moją wojenną tajną maturą! Nawet nie poszedłem popatrzeć na listę przyjętych. Zapisalem się na chemię, chodziłem na wykłady z historii i pętałem się po Krakowie. Minęło parę miesięcy. Na początku listopada, podczas wykładu z historii właśnie, podeszła do mnie jakaś dziewczyna.

– Kolega zdawał ze mną egzamin na medycynę i się nie dostał, prawda?

– Rzeczywiście, a co?

– A czy pan wie, że 10 listopada będzie egzamin konkursowy we Wrocławiu?

– To nie ma co się zastanawiać! Jadę już jutro.

– W takim razie miałabym do pana wielką prośbę. Ja też chciałabym jechać, ale moi rodzice absolutnie nie chcą mnie samej puścić. Gdyby pan zechciał pójść ze mną do nich i obiecał, że się mną zaopiekuje, to może mi pozwolą jechać.

Oczywiście pojechaliśmy do jej rodziców. Chyba zrobiłem na nich dobre wrażenie, ale rozmowa nie była łatwa. Ich starsza córka pojechała do Szczecina, gdzie została zamordowana. Oczywiście drżeli o drugą. W końcu stanęło na tym, że nazajutrz spotkamy się na dworcu.

Akurat dostałem od mamy paczkę żywnościową. Jeszcze ciemno było rano, gdy czekałem na dworcu z walizką. Ujrzałem ją bez bagażu. Rodzice jednak nie pozwolili jej jechać. Czekałem sam, spacerując po peronie. Zobaczyłem czekające blisko dwie niewiasty, najwyraźniej matka z córką, obie urodziwe. Nagle córka odeszła od matki, podeszła do mnie.

– Kolega na pewno jedzie do Wrocławia na egzamin na medycynę.

– Fakt jest, ale po czym pani to poznała, nie mam pojęcia, bo po strażackim mundurze na pewno nie, a po gębie też wątpię.

Tymczasem podeszła matka. Przedstawiliśmy się. Pani Prot i jej córka Jana, obie bardzo czarnowłose i czarnookie, były ogromnie sympatyczne.

– Czy pan ma kogoś znajomego we Wrocławiu?

– Nie.

– A ma pan tam jakieś mieszkanie?

– Nie.

– To ma pan chyba dużo pieniędzy.

– Mam trzysta złotych i bilet. Tam się zgłoszę do Bratniaka i jakoś to będzie. Chyba mnie przyjmą do akademika. Najważniejsze, to dostać się na studia.

Odeszły na chwilę, porozmawiały.

– Mamy dla pana pewną propozycję. Jana ma we Wrocławiu przyjaciółkę z powstania, która pracuje w rektoracie, też chce zdawać na medycynę i ma mieszkanie trzypokojowe blisko Placu Grunwaldzkiego. Tam zamieszkają razem. Kłopot w tym, że to okolica bardzo niebezpieczna. Czują by się bezpieczniejsze w towarzystwie mężczyzny. Gdyby pan chciał, mógłby pan zamieszkać z nimi. Ja też byłabym spokojniejsza o Janę, gdyby pan się nią zaopiekował w czasie podróży i tam.

Czy można sobie wyobrazić szczęśliwsze zrządzenie losu? Podziękowałem serdecznie i obiecałem, że będę robił, co tylko będę mógł. Jakoś upchnęliśmy się w pociągu. Doszliśmy z Janą do wniosku, że musimy ze sobą przejść „na ty” i przedstawić mnie jako starego znajomego, skoro Krystyna, ta przyjaciółka, ma mnie uznać za godnego zaufania opiekuna. Bruderszaft wypiliśmy oranżadą.

Na ulicę Fischerau 11 m. 9 dotarliśmy w południe, Krystyna jeszcze nie wróciła z pracy. Byliśmy bardzo głodni. Siedliśmy na schodach. Jana miała chleb, ja masło i kielbasę. Nie mieliśmy noża, chleb się łamało, smarując go masłem przy pomocy brzytwy. Wróciła Krystyna, uśmiechnięta, ładna, krępa szatynka. Przyjęła nas oboje bez zastrzeżeń. Zamieszkałem w małym, ładnym pokoiku. Mieszkanie było w oplakany stan. Dziury w ścianach od odłamków bomb, okna prawie bez szyb, częściowo zabite dyktą. Pokoje zawałone meblami, sprzętów, też kuchennych, było mnóstwo. Niemcy maksymalnie zagęścili okolice, wyburzając okolice Keiserstrasse, by zbudować lotnisko. Tak powstał plac Grunwaldzki. Nie było wody (nosiłem wiadrami z trzeciego podwórka), prądu. Oświetlenie było gazowe. Większość mieszkań zajmowali jeszcze Niemcy. Niemal co noc rozbrzmiewały wołania o pomoc. Bandy ci rabowali Niemców, a milicja nawet nie próbowała wychylać nosa z posterunków. Rzeczywiście, nie było bezpiecznie.

Najważniejsze było jednak przygotowanie się do egzaminu. Szybko zebraliśmy się nas grupka. Staraliśmy się powtarzać materiał z fizyki i chemii (tu miałem największe braki). Egzamin odbył się 10 listopada 1945. Miejsc na roku było 300. Egzamin nie był zbyt trudny, z fizyki pomogli mi koledzy. Zdałem. Zostaliśmy przyjęci wszyscy.

Zaczęły się wykłady w strasznych warunkach. Nikt nie opuszczał wykładów, bo nie było żadnych podręczników, ani skryptów. Sale wykładowe były przepelnione mimo zimna. Pamiętam wykład anatomii profesora Różyckiego, który w futrze i rękawiczkach rysował kredą schematy na tablicy, trzymanej rękami dwu studentów, a na nas przez wybite szyby padał śnieg. Zajęcia z chemii można było odbywać tylko, jeśli się miało własne odczynniki i szkło. Jednak entuzjazm był niezwykle. Nikt nie narzekał, gdy w stołówce kierownik przepraszał, że nie ma czym okraszyć kaszy (jedynej potrawy na obiad w tym dniu).

Równocześnie przeprowadzano badania lekarskie i tu kłopot. Okazało się, że Jana ma początki gruźlicy i zawieszono ją w studiach. Pani Protowa załatwiła w ministerstwie, że Jana będzie mogła kontynuować naukę, jeśli jej matka na miejscu zajmie się jej opieką i leczeniem. Tak też się stało. Pani Protowa przyjechała, dostała wille na Zalesiu i zabrała Janę do siebie. Zostaliśmy z Krystyną sami w mieszkaniu, lecz ja byłem całkowicie pochłonięty nauką, uzupełnianiem braków w fizyce i chemii.

Trzeba też było się zająć mieszkaniem. Zdobyłem cegły i gips, zamurowałem dziury w ścianach. Na placu Grunwaldzkim (tzw. szaberplac) kupowałem od Niemców za bezcen co większe obrazy, płótna i ramy szły na opał, a szkło przycinałem, przymierzałem i jakoś oszkliłem wszystkie okna. Zbędne meble - samych łóżek było osiem - porąbałem na opał. Same materace pozszywałem w cztery warstwy. W ten sposób, po przykryciu narzutą, powstały trzy bardzo wygodne tapczany. Ruszyły wodociągi, na gwałt zatykałem przebity odłamkiem kocioł pieca łazienkowego. W bezpiecznych piwnicach (Niemców wysiedlano) zdobyłem dwa rowery.

Krystynie nie szła nauka. Na wykładach zasypiała, raz nawet przy tej okazji spadła z kaloryfera, na którym siedziała na wykładzie z fizyki prof. Lorii. Coraz chętniej zajmowała się domem, kuchnią, no i mną. Coraz milej nam było razem. Często, wyraźnie dla mnie, grała pięknie na pianinie, miała absolutny słuch. Każdy utwór usłyszany gdzieś grała z pamięci. Marzeniem było radio. Zdobyliśmy je w sposób niecodzienny, bezczelny i mocno kontrowersyjny moralnie. Było tak: Pewnego dnia Krystyna wróciła z pracy i mówi: Wiesz co? Przyszedł do mnie w pracy pewien chłopak. „Proszę pani. Ja wiem, że na medycynę można się dostać, gdy się zapłaci. Mam na to 400 złotych”. Co by tu zrobić, teraz nie będę mogła spać. Chciałabym chłopcu pomóc. Dumaliśmy całą noc. W końcu mówię: Weź od niego kennkartę. Spróbuję go zapisać do partii, PPR ma swoje miejsca zarezerwowane. Jeśli się uda, sama zdecydujesz. I tak się stało. Poszedłem jako on do PPR, wypełniłem deklarację i poprosiłem o wpisanie mnie na listę partyjną na medycynę. Udało się. Po tygodniu szczęśliwy chłopak przybiegł do Krystyny. „Jestem przyjęty!” Krystyna oddała mu kennkartę, pogratulowała, nie chciała wziąć pieniędzy, ale on słuchać o tym nie chciał. I tak wszyscy byli szczęśliwi. Docent R. do dziś nie wie, że był w PPRze, partia miała nowego członka (nie było żadnych złych skutków), a my mieliśmy piękne radio. I co Ty na to?

Pani Protowa z Janą odwiedzały nas często. Napominała Krystynę: „Krysiu, ty się staczasz po linii pochyłej”. Myśmy się już kochali, ale wcale nie myśleliśmy się staczać. Nadchodziło Boże Narodzenie i termin zdawania „testamen osteologicum”. Pojechalśmy oboje do domów. Powiedziałem Krysi: „Będziesz poza moim wpływem. Kocham cię. Po powrocie albo się wyprowadzę, albo bierzemy ślub”. Zgodziła się, obiecała, że po ewentualnym ślubie nie będzie studiować. Po świętach przyszła do mnie depesza: „nie będę zdawała testamenu”.



19 lutego 1946 wzięliśmy ślub. Cywilny nr 4 we Wrocławiu. Kościelny dawał nam ksiądz Plewka Plewczyński, starsuszek, były kapelan osobisty Piłsudskiego. Świadkami byli Jana Prot i Tadek Turczyński. Moi rodzice stanowczo się sprzeciwiali, ale potem bardzo Krysię polubili. Byliśmy szczęśliwi. Krysia przeżywała każdy mój egzamin. Była pewna, że ja zawsze ze wszystkim sobie poradzę. Nauczyłem ją jeździć na rowerze, robiliśmy piękne wycieczki w okolicy Wrocławia. Tak minęło cztery lata i gruźlica zakończyła ten etap mojego życia. Wspominam go ze wzruszeniem. Kochałem też wspaniałą teściową i ojca Krysi, inżyniera Tadeusza Ibiańskiego, który był dyrektorem warzelni soli w Wieliczce. Życie w czasie studiów prowadziliśmy urozmaicone. Dostałem stypendium, Krysia pracowała w rektoracie jako sekretarka, po roku przeniosła się jednak do biura PZU, jako maszynistka. Tato nadal przysyłał co miesiąc 500 złotych. Z przyjemnością braliśmy udział w życiu kulturalnym. Śpiewałem w chórze akademickim, poznaliśmy wielu wspaniałych kolegów, nie tylko z medycyny, między innymi Jerzego Michotka, naszego częstego gościa. Zorganizowano akademicki Teatr, który dał dwa ciekawe przedstawienia, Zamach i ładnie zrobioną Szopkę, którą nam jednak wystawić uniemożliwiły mróz i cenzura. Nawet daliśmy dwa programy w Akademickim Radiu.

Nauka nie szła mi łatwo. Trudno było wkuwać anatomię, gdy się pożyczalo po kilka kartek podręcznika Bochenka i to nie zawsze po kolei. Z chemią (prof. Płażek) i fizyką (sławny Loria) były wiadome kłopoty, ale tu pomogli koledzy Tadek Turczyński i Dzidek Różycki, szczęściem egzaminy były pisemne, a na sali trzysta osób. Anatomię zdawałem trzy razy. Tylko histologię z embriologią zdałem śpiewająco u sławnej ze srogości prof. Sembratowej. Z fizjologią nie miałem trudności, a i tak dostałem tróję.

Na początku trzeciego roku zanosilo się na katastrofę. Ogłoszono kontrolę i rewizję matur. Ja maturę wojenną zdałem w 1943 roku w Ciężkowicach, pod firmą nieczynnego wówczas Ogólnokształcącego Liceum w Tarnowie. Wykładowcami i egzaminatorami byli wysiedleni lub zbiegli naukowcy z Krakowa, Poznania, m. in. Adam Bochnak, były kustosz Wawelu. Zażądano od nas oryginału matur, zamiast tych, wydanych nam, na maszynie pisanych zaświadczeń, które złożyliśmy przy wpisie. Pojechałem do Tarnowa, z trudem odnalazłem przeniesione już liceum, którego w życiu na oczy nie widziałem, ale oryginał na szczęście był. Ze studiami pożegnało się wówczas prawie 30 osób. Duże trudności mieli wracający z zagranicy, zwłaszcza z zachodu.

Studia przerwała mi w 49 r. po czwartym roku gruźlica. Leczenie sanatoryjne w czasie wakacji w 1948 roku w Ząbkowicach Śląskich było nieskuteczne. Po powrocie z Glinika, gdzie przez dwa tygodnie u mamy czulem się fatalnie, położyłem się na badanie na internie u prof. Falkiewicza. Po zdjęciach i konsultacji z prof. Grabowskim oświadczone mi: „Panie kolego, tu nie wystarczy dwa miesiące, pan

powinien polecić się w sanatorium rok, dwa”. Skierowano mnie więc na długie leczenie w Gryfowie Śląskim, gdzie miałem być leczony, zarazem pełniąc funkcję lekarza jako praktykant. Z bólem się zęgnalem z Krysią, która udawała, że nic strasznego się nie dzieje.

Pamiętam, był piękny, słoneczny dzień, gdy szedłem z walizką szeroką drogą, dość daleko od centrum miasteczka, do dużego, wyglądającego raczej na szkołę budynku. Dyrektor, dr Cyrkowicz, był wyraźnie zadowolony. Pierwsze słowo, jakie usłyszałem przy stole: „Gracie w brydża?” I rzeczywiście, zaraz po kolacji zjawiał się sympatyczny, grubawy dr Stanowski i piękna żona dyrektora i w dwie godziny wygrali ode mnie wszystkie pieniądze, jakie przywiozłem. „I co, zostaje pan?” „Choćbym nie chciał, to nie mam za co wracać”.

Od rana zaczęła się ciężka praca w dzień i w nocy. Dostałem pod opiekę 40-lóżkowy oddział, dopiero otwierany. Codziennie przybywali nowi chorzy, których należało opisać, zbadać i zaproponować leczenie. Tylko pierwsze prześwietlenie było wspólne z dyrektorem: „Tu macie naciek, tu drugi, tu jama. Teraz ja jadę do szpitala, pan teraz dopełni te odmy, potem zrobimy obchód”. A ja w potach. Nigdy nie dopełniałem sam odmy. Na ekranie widziałem jakieś szare plamy. Skąd miałem wiedzieć? Po wyjściu z rentgena czekali na mnie równie wystraszeni pacjenci, którzy w mig pojęli, co się dzieje. Idziemy do sali zabiegowej. Tam uśmiechnięta przelożona uspokaja: „Wszystko będzie dobrze, każdy ma na sobie ślady po poprzednich wkłuciach i wie ile ma dostać powietrza”. Tymczasem przed gabinetem grupka odmowiczów stoi spłoszona. Nikt nie chce iść pierwszy. W końcu ktoś odważny się decyduje. Raz się udaje i dalej już zabieg idzie bez kłopotów. Ale ile mnie to kosztowało.

Teraz, po pracy, przez prawie całą noc nos w podręczniki. Ja muszę to umieć. Po kilku dniach ekran rtg zaczął w końcu coś pokazywać. Obaj lekarze, zwłaszcza dobry doktor Stanowski nauczyli mnie dużo, nabrałem pewności siebie, a i pacjenci nabrali zaufania i wielu okazało sporo sympatii. Czulem się jednak coraz gorzej. Zalewały mnie nocne poty, nie mogłem jeść. To było widać. Jednak, mimo ciężkiej pracy, po 4 miesiącach dyrektor nawet nie zdołał mnie prześwietlić.

Dowiedziałem się, że Kamyk Pizło jest dyrektorem sanatorium w Wysokiej Łące koło Kowar. Napisałem do niego i natychmiast przysłał po mnie samochód i zabrał się za moje leczenie. Odma lewostronna, po roku odma prawostronna. Leczenie trwało trzy lata. Tego czasu nie wytrzymało moje małżeństwo, Krystyna, która panicznie bała się gruźlicy, poprosiła mnie o rozwód.

Kontynuując opowieść o naszych losach chciałbym przedstawić sylwetkę mojej zmarłej małżonki Małgosi. Jest to opowieść smutna, jak z powieści Dickensa. Nie wiem jak zacząć, chyba od czasu naszego poznania się.

W 1950 roku, gdy pracowałem na Wysokiej Łące, u Kamyka Pizły, równocześnie się lecąc, przyszła do mnie jedna z pracownic z listem i prośbą o pomoc. Napisała wypisana już po leczeniu pacjentka, skarżąc się, że po wypisaniu straciła pracę, mieszkanie, nie ma co ze sobą zrobić. Pytała o możliwość uzyskania pracy jako, na przykład, sekretarka. Opisano mi ją jako młodą, bardzo zdolną, świetnie piszącą na maszynie dziewczynę. Dowiedziałem się też, że przed wypisaniem była w rozpacz. Poszedłem do Kamyka. Okazało się, że właśnie na urlop macierzyński odchodzi sekretarka i nie ma przeszkód. Tak zjawiała się 23-letnia, smukła, zastraszona, niezbyt ładna Halina Lipińska, która szybko podbiła serca lekarzy i pielęgniarek. Kamyk był zachwycony nową sekretarką. Ja jej pomagałem, jak

mogłem, zwłaszcza w odczytywaniu łacińskich rozpoznań i zwrotów. Nazywano ją Małgosią, podobno z uwagi na byłą przyjaźń z jakimś Jasiem, i tak już zostało. Zaintrygowało mnie jedno, gdy wykonałem przed nią jakiś szybszy ruch ręką, natychmiast zasłaniała ramieniem twarz w obronnym odruchu, a w oczach miała przerażenie. Czyżby była bita? Często cierpiała na silną migrenę.

Zapowiadano wymianę starych niemieckich kennkart. Małgosia zrobiła się niespokojna, następna migrena nie ustępowała po tygodniu trwania, poinformowano mnie, że jakoby usiłowała popełnić samobójstwo. Po naradzie z Kamykiem skierowaliśmy ją do kliniki neurologicznej we Wrocławiu. Ja doszedłem do wniosku, że za tym wszystkim kryje się jakaś tragedia osobista.

Przejrzałem wszystkie jej osobiste rzeczy i stwierdziłem, że ona nie ma żadnych dokumentów, poza świadectwem pracy z Gazety Robotniczej w Katowicach. Były natomiast dwa listy od jej wychowawczyni, z którą Małgosia najwidoczniej zerwała kontakt. Napisałem do niej, przedstawiając jej stan Małgosi. Napisałem też do jej, jak się zorientowałem, narzeczonego, ale nie zareagował.

Była wychowawczyni, Pelagia Di Risio z Dziedzic przysłała długi list, w bardzo nieprzyjemnym tonie, z którego, po dalszych moich dociekaniach, wyloniła się tragiczna historia:

W 1930 roku w krakowskiej gazecie ukazało się ogłoszenie: „Trzyletnią dziewczynkę oddam na wychowanie bezdzietnej rodzinie”. Podano adres kontaktu. Di Risiowa, Ukrainka, żona byłego jeńca włoskiego, odebrała w jakiejś podkrakowskiej wsi zaniedbane dziecko, z wielką, świeżo zagojoną blizną po oparzeniu na prawym ramieniu. Za dziecko zapłaciła trzysta złotych, otrzymując kartkę z oświadczeniem: „Oddaję na wychowanie pani Di Risio Halinę Zofię Lipińską urodzoną 18 października 1927 w Krakowie”. Podpisany Stanisław Pawlik-Gwozdecki. To wszystko i do tego nieprawdziwe. Di Risiowie nie poczynili żadnych kroków w kierunku adopcji. Dziecko posłane do szkoły nie dostawało świadectw, bo nie miało metryki urodzenia. Już od 10 roku życia zapędzone do pracy, musiało utrzymywać w porządku piętrową willę, niemilosiernie bite czym popadło, pogrzebaczem, tasakiem, nożem. Na głowie i ciele miała, jak później stwierdziłem, kilkadziesiąt wielkich blizn. Kilkakrotnie uciekała, rok spędziła w sierocińcu, z którego pamięta wielką przyjaźń z wielkim, groźnym psem, którego się wszyscy bali. Odnalazła też Pawlik-Gwozdeckiego, który przyznał, że jest jej ojcem. Matka już nie żyła. W końcu wróciła do Di Risiowej. W czasie wojny 13-letnie dziecko poszło do pracy w cegielni, gdzie nogami miesiła glinę. Szybko jednak dostała pracę w fabryce kabli, gdzie niemiecki inżynier zainteresował się nią, ocenił jej inteligencję i posłał na szkolenie. Opanowała dokładnie język niemiecki, stenografię i maszynopisanie. Nie udało mi się niestety odnaleźć śladu tego inżyniera.

Po wojnie opuściła Dziedzice i Di Risiową. W Katowicach łatwo dostała pracę przy nasłuchu radiowym w redakcji Gazety Robotniczej i zapowiadało się dobrze, miała przyjaciół, ćwiczyła też w szkole baletowej. Nagle z powodu gwałtownego krwotoku płucnego znalazła się w sanatorium w Bukowcu. Próba odmy była nieskuteczna. Dla ratowania życia, po kolejnych krwotokach wykonano operację torakoplastyki tj. wycięto trzy górne żebra prawostronnie, żeby ucisnąć zmiany gruźlicze w szczycie płuca. Do sił doszła szybko.

Udało mi się nawiązać kontakt z niańką rodziny Pawlik Gwozdeckiej, która poprosiła, by Małgosia, gdy wróci, przyjechała do niej, wtedy uzyska wszystkie informacje. Tymczasem Małgosię przywieziono okradzioną ze wszystkich rzeczy z dworca kolejowego w Jeleniej Górze. Uciekła z Kliniki,

czuła się już lepiej i na pierwszą wieść o moich dokonaniach pojechała do Krakowa, skąd przywiozła metrykę chrztu. Okazało się, że naprawdę jest Heleną Zofią Pawlik-Gwozdecką, urodzoną 23.11.1927, czyli wszystkie poprzednie dane były fałszywe. Po co? Nigdy się nie dowiedzieliśmy.

Prawnie zmiana wszystkich danych wydawała się omal niemożliwa, lecz z pomocą przyszła moja pacjentka z oddziału, której matka była przewodniczącą Miejskiej Rady Narodowej w Jeleniej Górze. Ta wystawiła orzeczenie, że Helena Zofia Pawlik-Gwozdecka nieprawnie używała nazwiska Halina Lipińska i tak dalej. Małgosia dostała dowód osobisty, moja małżonka uzyskała rozwód, a ja postanowiłem poświęcić resztę życia, by naprawić wszystkie krzywdy, jakie Małgosi wyrządził los.

Pokochaliśmy się. Kamyk wyjechał leczyć się z morfinizmu. Nas oboje przeniesiono do pracy w małym sanatorium w Górze koło Szklarskiej Poręby, gdzie w 1951 r. wzięliśmy ślub, znów bez zgody i obecności rodziców. Jednej rzeczy nie wiedziałem - że dziecko, którego nigdy nikt nie kochał, samo kochać nie potrafi.

Po krótkim pobycie w Górze (to były prawdziwe miodowe miesiące wśród lasów, grzybów, a w zimie zasypani śniegiem), gdzie Małgosia nadal była sekretarką, przeniesiono nas do sanatorium w Szklarskiej Porębie, ona nadal w sekretariacie, ja dostałem pod samodzielną opiekę oddział. Małgosia była już w ciąży. W szóstym miesiącu poczuła się źle, badanie wykazało jamkę gruźliczą w drugim, nieoperowanym płucu. Wytworzyłem odmę, ku przerażeniu miejscowego ginekologa, który zastrzegł, że ze spodziewanym porodem nie chce mieć nic wspólnego. Zaczynający się poród oznajmił co najmniej miesiąc za wcześniej i na jego odbycie wysłał nas do Instytutu Gruźlicy, gdzie nas oczywiście nie przyjęto. Wróciliśmy do Szklarskiej. Małgosia oświadczyła, że nigdzie nie jedzie i moja opieka jej wystarczy. Poród odbył się w izbie porodowej, starsza położna była na poziomie, zaś wezwany ginekolog zapobiegawczo spił się w trupa. Poród odebrałem sam, z pomocą położnej, w nocy. Rano, wobec sporego upływu krwi, wysłaliśmy ginekologa do Szklarskiej po krew, lecz on jeszcze nie otrzeźwiawszy, stłukł jedną butelkę i musiała wystarczyć druga.



Mieszkaliśmy na terenie zakaźnym, moje leczenie było zakończone, postanowiliśmy wracać do Wrocławia, kończyć moje studia. Całego majątku mieliśmy radio i łóżeczko dziecięce, oraz dar mego taty - wózek. Hania odstąpiła nam jeden pokój. Kupiliśmy tanio najpotrzebniejsze meble. Trzymiesięczna Sławka poszła do żłobka. Małgosia zaczęła pracę jako maszynistka w Hydroprojekcie. To było daleko, musiała bardzo wcześnie wstawać, czuła się kiepsko. Była przemęczona, zdenerwowana, od prania pieluch dostała egzemę na rękach (ja też). Atmosferę psuły ciasnota i nie najlepsze układy w małżeństwie Hani. Do tego Sławka zaczęła chorować. Kolejne anginy powtarzały się co raz, zwłaszcza gdy w żłobku podano jej łyżeczkę jodiny zamiast syropu. Cudem obyło się bez tracheotomii. Małgosia stała się drażliwa, wszczyniała awantury o byle co.

Po roku nastąpiła niespodziewana zmiana. Moja koleżanka z początkowych lat studiów Jana Prot po dyplomie wyjechała z matką do Warszawy, odstupując nam, do końca moich studiów, pół willi na Zalesiu, wraz z meblami, wyposażoną kuchnią i ogródkiem. Zaczęło się inne życie, choć finansowo było naprawdę trudno, jednak po zmianie miejsca pracy, blisko, było już łatwiej. Odezwała się Di Risiowa, była bez środków do życia, prosiła o pomoc. Mając na względzie opiekę nad Sławką, bez trzymania jej w

żłobku, Małgosia przyjęła ją, dając wygodny pokój na poddaszu. Początkowo było dobrze, babka opiekowała się dzieckiem troskliwie, lecz po pewnym czasie zaczęła złośliwie plotkować i intrygować przeciwko mnie. Nie mówiła o mnie inaczej, jak „on”. W końcu Małgosia się wściekła, spakowała jej rzeczy i odesłała do Dziedzic, gdzie Di Risiowa do końca życia pozostała w domu opieki.

Na miejsce Di Risiowej najeliśmy miłą, 15 letnią Niemkę Helgę, która wspaniale znalazła wspólny język ze Sławką, była prawdziwą pomocą.

Małgosia pracowała w Biurze Projektów Budownictwa Morskiego w hali maszyn, zdobywając sobie wysokie uznanie za poziom pracy i powszechną sympatię. W wojewódzkim konkursie maszynopisania zdobyła pierwsze miejsce z rezultatem 420 znaków na minutę. Zakład sam wysłał ją do Warszawy na konkurs ogólnopolski, gdzie zajęła 11 miejsce, z winy redaktora, który spod jej krzesła robił zdjęcia, spojrzała na niego i opuściła cały wiersz tekstu. Była niepokieszona, gdyż wg tempa pisma, byłaby na pewno pierwsza.

Niestety Sławka dalej chorowała. Po szkarlatynie wypisano ją ze szpitala (gdzie dodatkowo przeszła odrę), z wysoką gorączką. Już w domu, sam stwierdziłem błonicę. Po wyleczeniu stwierdzono u niej w sercu niepokojące szmery. Pojechałem do Kliniki pediatrycznej, gdzie docent, po zbadaniu dziecka, zapytany jak je dalej leczyć, oświadczył: „Obojętnie jak się będzie leczyć, ona i tak do pokwitania nie dożyje”. Nie odważyłem się Małgosi tego powtórzyć.

Udałem się po pomoc do pani profesor Hirszfildowej. Ona, pełna dobroci, zbadła Sławkę, przepisała salicyl i poradziła - „proszę jej podawać to trzy razy dziennie po łyżce, jeśli przez trzy lata nie będzie nowej anginy, to będzie ją można uznać za zdrową. Radzę jednak wyjechać z Wrocławia”. Małgosia była już u kresu wytrzymałości, tym bardziej, że była w 7 miesiącu ciąży. W klinice urodził się Marek, lecz tuż po porodzie wystąpił ciężki napad rzucawki połogowej i dwa dni trwał zagrożenie życia. Do domu wrócili po trzech tygodniach, ja właśnie zdawałem ostatnie egzaminy, ku radości Małgosi z najlepszymi ocenami. Marek urodził się rudy jak marchewka, co mu mama usiłowała poprawić, farbując mu włosy sokiem z marchwi. Zafarbował się becik i pieluchy, tylko włoski pozostały rude. Nawiasem mówiąc, ten kolor później stał się kasztanowaty, teraz tylko brodę ma rudą.

Dostałem dyplom. Niestety nie mogłem skorzystać z propozycji asystentury na internie u profesora Falkiewicza, z uwagi na zdrowie Sławki i moje. Z nakazem pracy nie było problemów. W sanatorium Gostynin-Kruk poszukiwano lekarza. Szczęśliwie właścicielka naszej willi podarowała nam wszystkie meble, łącznie z pięknym zegarem i maszyną do pisania. Dostaliśmy piękne mieszkanie czteropokojowe z werandą i ogródkiem. Warunki pracy były dobre, choć pensja była głodowa (800 zł), jednak wyżywienie było prawie darmowe, nie płacono się też za światło i gaz. Zespół lekarzy był nastawiony na prace doskonalące. Każdy z 5 osobowego zespołu znał inny język i co miesiąc przedstawiał tłumaczenie z obcej prasy fachowej. Ja tłumaczyłem z czeskiego. Na kursie w Łodzi zrobiłem pierwszy stopień specjalizacji.

Sanatorium było w głębi puszczy, do najbliższej wsi było 3 km, a do Gostynina 12. Głusza.

W Sławkę wstąpił nowy duch. Ona, która we Wrocławiu nie chciała w ogóle jeść, obiad trzymała w buzi do kolacji, a kolację do śniadania, tu jadła wszystko co jej wpadło pod ręce, wypila nawet ze

słoika lakieru, ku przerażeniu Małgosi. W ciągu roku przytyła 10 kg. Małgosia też odżyła, choć skarżyła się na brak zajęcia. Szczęśliwie dojeżdżający z Warszawy chirurg opracowywał Almanach Lekarski i zlecił jej napisanie całości z fiszek. Pracowała z zapalem, książka się ukazała, z adnotacją podziękowania dla niej za współpracę. Dumna też była z sówitej zapłaty za pracę. Kupiliśmy pralkę, odkurzacz i rowerek dla Sławki, która ku ogólnemu zdumieniu od razu na niego wsiadła i pojechała. Marek też rósł jak na drożdżach.

Z czasem Małgosia coraz gorzej znosiła beczynność, nie umiała się zintegrować z otoczeniem. Mnie stale zapraszano na brydża i różne przyjęcia towarzyskie, dużo się piło. Małgosia nie znosiła kart. Zrobiła się drażliwa, zdarzały się awantury nie wiadomo o co. Zaczęło się psuć między nami pożycie. Wychowana niesamowicie pruderyjnie uniemożliwiała jakiegokolwiek porozumienie w tych sprawach. (...). Na pewno mnie kochała z całej duszy, niejednokrotnie dawała tego dowody, nie było w niej jednak cienia kokieterii. Nigdy mi nie powiedziała sama, że mnie kocha, nigdy mnie nie pocałowała pierwsza, zresztą nie umiała się całować. Moje uczucia nie zmieniały się, rozumiałem jej postawę jako ślad po okrutnym dzieciństwie. Kochałem ją tym bardziej i wybaczałem wszystko.

Po dwu latach trzeba było pomyśleć o szkole Sławki i wyjściu z puszczy. Przeprowadzka do Makowa Podhalańskiego, gdzie dyrektorem sanatorium PKP był Kamyk Pizło, choć zawodowo było dla mnie interesujące, było pomyłką. Małe mieszkanie, wbrew obietnicom Kamyka, jak również głodowa pensja, bez możliwości dodatkowej pracy, mimo przemiłej atmosfery jaką potrafił stworzyć wokół siebie Kamyk, nie dało perspektywy przeżycia. Małgosia trochę dorabiała przepisywaniem prac na maszynie, lecz zleceń było zbyt mało.

Zdecydowaliśmy się przenieść do Ropczyc, gdzie szukano ftyzjatri na stanowisko kierownika powiatowej poradni przeciwgruźliczej. O tym już pisałem. Siedem lat ciężko pracowałem. Małgosia nie znosiła tej dziury, jednak z zapalem zajęła się domem i dziećmi. Sama szyla sukienki dla siebie i Sławki, ubrała się pięknie. Gdy kupiliśmy samochód podjęła ważną decyzję: uzupełnienie wykształcenia. Dojeżdżała do Rzeszowa i w ciągu trzech lat przerobiła materiał całej szkoły podstawowej (przecież sprzed wojny nie miała żadnych świadectw). Sławka też skończyła szkołę, kupiliśmy pianino. Marek zaczął się uczyć grać na fortepianie, jednak w szkole, rozpieszczany przez nauczycielkę i Małgosię nie uczył się wcale. Małgosia traktowała ich nierówno. Sławkę bardzo surowo (co jej wyszło naprawdę na dobre), Markowi wszystko uchodziło na sucho. Każda moja uwaga wywoływała gwałtowne awantury. Był też okres trudny, gdy Małgosia przeszła ciężkie zapalenie wirusowe wątroby, dwa miesiące leżała w szpitalu zakaźnym w Łańcucie, a potem w sanatorium w Długopolu. Marek w tym czasie przebywał u babci w Gorlicach.

W styczniu 1967 rozpoczęliśmy życie w Kaliszu. Małgosia została sekretarką dyrektora ZOZ-u. Równocześnie rozpoczęła naukę w wieczorowym liceum, natychmiast jako prymuska szkoły. Okazała się dosłownie geniuszem matematycznym. Z zapalem rozwiązywała najtrudniejsze zadania ze zbiorów maturalnych. Bez trudu zdała maturę i marzyła o wyższych studiach. Z podziwem patrzyłem, jak przygotowywała do matury niewidomą zakonnicę z matematyki i geometrii



wykreślnej. Tworzyła z patyczków wymyślne figury geometryczne, a siostra w mig pojmowała zadania przestrzenne.

Dużo kłopotów sprawiał Marek. Z pierwszej wywiadówki przyniosła Malgosia tyle dwój, ile było przedmiotów. Malgosia siadła z nim do pracy i wyprowadziła go z braków. Trzeba było już nadal z nim pracować i zmienić szkołę. Chodził też do szkoły muzycznej, gdzie skończył klasę organów i fortepianu.

Niestety, zaczęły Malgosię dręczyć okresy depresji, zwykle po mało znaczących nieporozumieniach, czy niepowodzeniach.

Pierwszy był już w Ropczycach, lecz po lekach szybko minął. Nasiliły się też niepokojące zachowania, które już wcześniej obserwowałem. Zawsze miała swoich „etatowych” wrogów, zwykle po jakiejś ich niefortunnej wypowiedzi, ale często trwało to długo i głupio traciliśmy przyjaciół. Wiele lat trwała taka animozja w stosunku do mamy i Hani, spowodowana omyłkowym przesłaniem listów. Do nas trafił wysłany do ciotki Langowej z uwagą „Malgosia znów chora, biedny Jędrzek, wszystko się na niego wali”. Dopiero po wielu latach wrogości i milczenia, nagle zapytała: „Czemu od mamy tak długo nie było wiadomości?” Już zapomniała o sprawie.

Tragedia się zaczęła, gdy ciężka depresja i wrogość zwróciła się przeciw mnie, o każdy drobiazg. Przestała jeść i spać. Dopiero przy pomocy koleżanki udało się umieścić ją w szpitalu, na oddziale nerwic. Na drugi dzień zadzwoniłem do niej - „Zabierz mnie stąd”, prosiła. „Dobrze, ale pod warunkiem, że pozwolisz mi opiekować się tobą”. Wróciła, jakiś czas był spokój. Pełna energii ukończyła kurs instruktorów psychologicznej opieki i rozpoczęła pracę w Poradni Uzależnień Lekowych, czyli ośrodka pomocy narkomanom. Miała duże sukcesy, okazała zdolność niezwyklej empatii, zdobywała zaufanie i sympatię podopiecznych. Niestety, nawroty depresji stały się coraz cięższe i trwały bez przerwy. Pomoc okazał nam jeden z najlepszych naszych przyjaciół profesor Ignacy Wald, który umożliwił Malgosi leczenie w Instytucie neuro-psychiatrycznym w Warszawie, gdzie w sumie, z przerwami, pozostawała blisko dwa lata. Leczenie było niezwykle trudne, były ogromne trudności w dobraniu leków. Powtarzały się trafiające się już wcześniej upadki, jak przy padaczce, była stale posiniaczona. Zastosowano trzy serie elektrowstrząsów, podczas których straciła prawie wszystkie zęby. Gdy uświadomiono ją, że cierpi na psychozę cykliczną, jednobiegunową, próbowała popełnić samobójstwo, biorąc ogromną ilość leków nasennych i nasercowych, uzbieranych nie wiadomo jakim sposobem. Uratowano ją cudem w Instytucie Toksykologii. Wezwano mnie natychmiast, prosząc o oświadczenie, że nie będę wnosił skargi o zaniedbanie w opiece. Oczywiście je dałem. Gdy Malgosia doszła do siebie, poszliśmy do parku, na przepustkę z Instytutu. Poprosiła mnie o zgodę na rozwód, uważając, że nie może mnie zmuszać do życia z osobą chorą psychicznie. Kochanie – powiedziałem – pobraliśmy się na dobre i na złe. Gdy myślałem, że to sprawa charakteru, że jesteś zła, może bym był gotów odejść, ale przenigdy nie opuszczę cię w chorobie. Wracaj do swoich narkomanów!

(.....)

(z listów)

W końcu, skoro się człowiek zestarzał to musi się z tym pogodzić, że nie dowidzi, nie dosłysz, byle tylko nie czuł się zawadą. Czuję się tu bezpieczny, czuję miłą życzliwość najbliższych, choć czasem wiem, że nieraz brak im cierpliwości.



Bardzo interesuję się polityką, sportem. Teraz trudno mi się oderwać od komputera. To okno na świat i niezgłębiona studnia wiedzy. Naprawdę zbyt wcześnie się urodziłem, zbyt dużo przeżyłem złych czasów i żal że nie danym mi będzie przeżyć i dowiedzieć się tego, co się utwiera przed młodym pokoleniem już w najbliższych latach."

Nagle przyznały się do mnie przychodnie: kardiologiczna, okulistyczna, pulmonologiczna, laryngologiczna i gerontologiczna i wszystkie jako pierwszoplanowe i każda ma powody do czynnego działania. (...) Jak na razie przeszkadza tyle, że pisząc teraz nie widzę litery na klawiszu, który właśnie naciskam, przez co wciąż się myślę i poprawiam.

(...)

Ze słuchem dzieją się dziwne rzeczy. Bez aparatów nie słyszę prawie nic. Z aparatami i słuchawkami świetnie słyszę i rozumiem wiadomości telewizyjne, sport, Sławkę i osoby mówiące powoli i nie za głośno. Dobrze słyszę przez telefon i świetnie rozumiem. Poza tym nie rozumiem wcale, nawet głośnej rozmowy. Zupełnie nie rozumiem i przestałem oglądać polskie seriale i większość filmów, a chodzi tylko o percepcję dźwięków. To wcale nie poprawia mi samopoczucia.



(...)

Do tego cały czas nakaz - ruszać się, bo zanikną mięśnie! Łatwo powiedzieć! Łażę więc w kółko dookoła stołu, atakuję pierwszy stopień schodów i macham różnymi instrumentami do ćwiczeń. Faktycznie jest coraz lepiej i sił wyraźnie przybywa.

(...)

Gazetę czytam tylko przez lupę. Dobrze widzę telewizję, zwłaszcza sport. Niestety przestałem rozumieć tekst, zwłaszcza ulubione seriale, ale to już sprawa słuchu i tu jest kolomyjka. Tylko Sławka umie tak mówić, że ją rozumiem. Zawsze proszę: Do mnie proszę mówić nie głośno, tylko powoli! Nie wszyscy tak potrafią. Dlaczego natomiast świetnie rozumiem wszystkich, przez telefon dobrze rozumiem, Wiadomości tv, nikt mi nie umie wytłumaczyć. Dobrze widzę i czytam z laptopa, bo i regulacja jest szersza.

(...)

o fotografii:

Ja sam, stary entuzjasta fotografii nie miałem pojęcia, że tymi nowymi cyfrowymi aparatami można, bez żadnych rolek taśmy, bez żmudnego nastawiania światła, czasu, ostrości i tak dalej robić setki zdjęć i potem je sobie wybierać. Do tego rolę takich aparatów pełnić mogą komórki telefoniczne. Dla mnie taka fotografia straciła trochę swój urok sztuki. choć przyznać muszę, że wieloma zdjęciami (...) jestem zachwycony.

(...)

Pamiętam jako duży błąd moich rodziców, że nie posłali mnie - sześciolatka do przedszkola, wtedy tak zwanej Ochronki. Gdy pierwszy raz poszedłem do szkoły, okazało się, że wszystkie dzieci poza mną potrafią już czytać i pisać i powstały braki, których już nigdy nie udało mi się wyrównać. No, ale teraz już takiej różnicy poziomów między przedszkolem a 1 klasą nie ma.

(...)

Po wzruszeniach w związku z chorobą i śmiercią Jana Pawła Drugiego wróciliśmy do codziennych zajęć i kłopotów. Moje zdrowie już nie takie. Boli krzyż i biodro, chodzę w gorsecie wiązonym i o kuli, ale staram się ruszać. Dużo czytam. Sprawy polityczne w kraju wywołują tylko obrzydzenie. Czy jest tu ktoś, komu naprawdę można zaufać?

(...)

Ja się czuję nieźle. Właściwie nie wychodzę, bo mi kregosłup nie daje. Pół godziny po ogródku, jak się da, posiedzę na słonku i to wszystko.

90 Urodziny, 10 stycznia 2014

- *(Odpowiedź na mail od prawnuka Wojtka)*

Kochani,

serdecznie dziękuję za piękne życzenia i szczególnie za piękny film i obrazki od chłopców. Bardzo miło Was widzieć w radosnym, szczęśliwym rodzinnym gronie i czuć się w tym momencie razem z Wami. Całuję serdecznie WSZYSTKIE BUZIE, te od malutkich do najstarszych, Wasz Andrzej.

(Do Joasi)

Bardzo serdecznie dziękuję za miłe życzenia z okazji przekroczenia przyzwoitej ilości lat. Kto to widział tyle żyć.

Andrzej

.....
Pełny tekst **Wspomnień**, po zalogowaniu, znajdziecie [tutaj](#)